

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

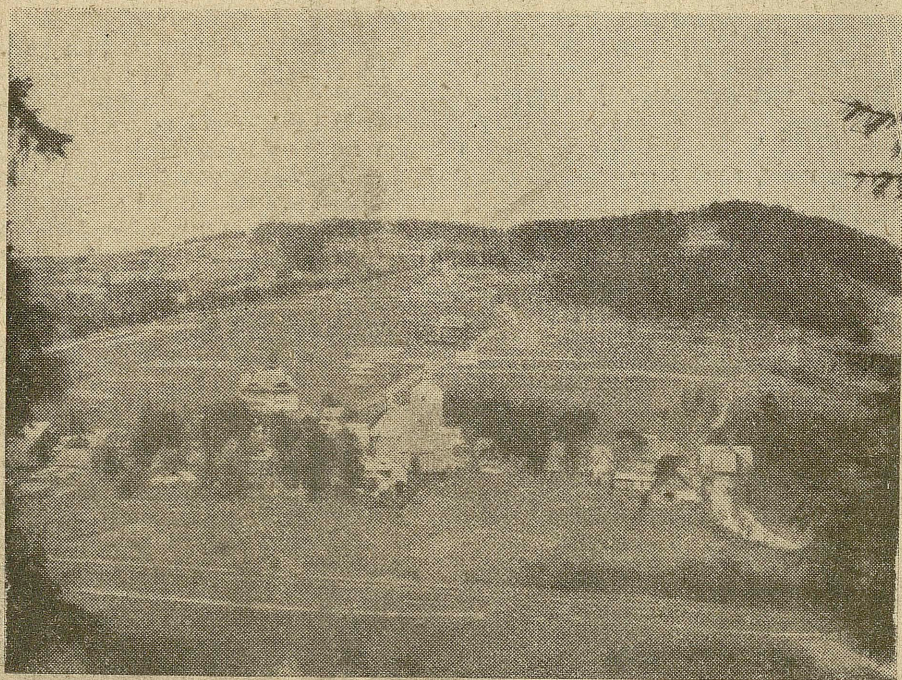
Rok V

Łódź, 20 czerwca 1948 r.

Nr 25 (154)

Anna Kamińska

JAK PRZED NAMI PROJEKTOWANO?



Peronin na tle Galicowej Grapy Na wzgórzu po lewej stronie nowa szkoła

PO SZEREGU wycieczek publicystycznych w stronę kultury czytelnictwa na wsi — zbiera się zbieranie mądrych ludzi, którego celem będzie wreszcie opracowanie katalogu podstawowej biblioteczki wiejskiej — wówczas wstanie ktoś z ostatnich krzeseł i odezwie się z prostotą:

— Witam was panowie — podziwiamy i wzajemnie brody, które nam wyrosły przez ostatnie pół wieku.

Zastanawiając się nad trudnym problemem wyboru książek dla czytelników wiejskich, skoro już bez wyboru się nie obejdzie, zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy w sytuacji analogicznej do tej, w której znalazła się inteligencja polska po 51 roku wobec sprawy kultury wiejskiej. Analogia ta może się wydać niemiła, bo społecznie skompromitowała trochę i inteligencję i jej ludomanię w szczególności. Niemniej z analogii tej trzeba sobie zdawać sprawę, raz dlatego, żeby nie rozpoczynać ciągle od nowa tego, co ma swoje tradycje, potem aby osadzić się, jakoś w historii i stwierdzić, że i ta nasza dyskusja i jej ewentualnie pozytywne wyniki to ciągle etap, to ciągle jeszcze nie ostateczne dojście.

Przypomnijmy. Problem: „co ludzie wiejszy czytać powinni?”, sformułowany został bodaj w 80-tych latach ub. wieku. Mnie przynajmniej znana jest broszura pod tym tytułem, wydana w 1885 roku przez K. Prószyńskiego (autor Tomek Piast), a także ciekawy i jak się zdaje socjologicznie poprawny (nowocześniejszy, niż „czytelnikowski”) kwestionariusz w sprawie czytelnictwa na wsi A. Brzezińskiego („Co i jak nasz lud czyta” 1890).

Poradnik czytelnicy Piasta obejmuje tylko wydawnictwa tzw. „dla ludu”. Pomysłany jest zresztą w ogóle jako rozumowany katalog księgarni ludowej, która zapewne interesów nie robiła. (Podkreślam: rozumowany, gdyż zasadą jego jest: „człowiek powinien zawsze wytłumaczyć się ze wszystkiego, co powie” — nie tak jak mój kolega Bocheński, który Platona — tak, a Krasińskiego — raczej nie, albo — sam nie wiem — a dlaczego?). Zawiera on obok 60 (!) pozycji bibliotecznych, które zdaniem autora wyczerpują możliwości literatury dla ludu i wystarczają, straszcząc i uwagi dotyczące pożytku książki i jej przeznaczenia: dla dziecka, początkującego czytelnika, gospodarza — rolnika, kobiety czy młodzieży. Katalog uwzględnia tylko współczesną produkcję literacką dla ludu, która oczywiście — jeśli trzeba to dodawać — była całkowicie marginesowa wobec współczesnej wówczas twórczości.

Jedną tylko z reklamowanych książek ułożona zresztą przez Brzezińskiego listę, zasłużonego popularyzatora czytelnictwa, zawiera „siła ładnych, zabawnych wierszy i piosenek najlepszych pisarzy naszych: Konopnickiej, Syromkomi, Lenartowicza” — więc także współczesnych.

W kwestionariuszu swoim Brzeziński obok marginesowej literatury dla ludu poleca: „Pana Tadeusza”, „Michałka”, „Wiesława”, „Starą baśń” (skrótowiec) — nie wymieniał autorów, co wydaje się zresztą znamienne — ciągle chodzi o walor dydaktyczno-moralny lektury, nie o oświatę w ścisłym znaczeniu, a w żadnym razie czytelnicy snobizm — po łóbkach „wielkich”. W tym jakże ubogim dodatku — „Pana Tadeusza” i „Wiesława” możemy traktować jako „klasyków” — jak to dziś mówimy w naszych dyskusjach o wybitnych historycznych pozycjach literatury, o autorach szkolnych — znikomy jest ten udział klasyków. A jeśli przypomnimy sobie, że i owa „literatura dla ludu” miała już swoich „klasyków”, musimy stwierdzić, że rolę wychowawczą wobec warstwy chłopskiej przypisywano przede wszystkim współczesnej produkcji literackiej — oczywiście z tym początkowym obwarowaniem, że mowa tu o marginesowym, dydaktycznym rodzaju.

Swoją kwestionariusz adresuje Brzeziński do inteligencji polskiej, stykającej się z ludem w robocie oświatowej i przebywającej na wsi. Celem kwestionariusza jest zdobycie uzasadnionych socjologicznie odpowiedzi na pytania:

- 1) Czy istniejące obecnie wydawnictwa ludowe przenikają istotnie do mas ludu?
- 2) Jak są przez lud przyjmowane?
- 3) Czy odpowiadają one swą treścią i formą rzeczywistym potrzebom ludu i jego umysłowemu uzdolnieniu.
- 4) Jakim warunkom w ogóle i w szczególności winny czynić zadość, żeby przynosiły prawdziwy pożytek ludowi?

Pytania te powtórzone i dziś szerzej — wobec całej współczesnej literatury — wydają się bardzo anachroniczne. Są to nadal podstawowe zagadnienia dla „upowszechniania” książki na wsi.

Zasadniczą różnicą między dawnymi a nowymi koncepcjami „czytelnictwa ludowego” — jest nasza eliminacja literatury tworzonej specjalnie dla ludu, jest przyznanie wsi prawa do pełnej kultury. Różnica to niebylejaka. Zastanówmy się jednak, czy mierzymy ją słusznie wyrostem warstw chłopskiej, jak to jesteśmy skłonni? Z dziecka (Brzeziński pisze o stanie „umysłowego uzdolnienia” ludu — więc niby o wstępnej klasie do kultury) — urosła nam

na człowieka, no i nagle okazuje się, że, jako „też człowiek” ma prawo do pełnej kultury, że jest w wieku, w którym śmiesznie byłoby sprawdzać metrykę urodzenia jak przy wejściu do kina na film dozwolony od lat 17.

Zacofanie kulturalne wsi jest faktem — zawsze jednak w stosunku do czegoś. Być może, na pewno nawet — to względne w stosunku do elity kulturalnej zacofanie wsi było większe 50 lat temu, niż dzisiaj. Jednak nie zmienia to faktu, że metoda pracy oświatowej na wsi wynikała z takiej a nie innej tradycji, sytuacji historycznej i postawy ideologicznej inteligencji w drugiej połowie XIX wieku. Metoda, jak to metoda, mogła być taka, mogła być inna. Dlaczego np. nie Prusem (dlaczego?) nie Orzeszkową, nie Kraszewskim nawet (Stara baśń — skrótowiec) szturmować pod strzechy, a dalej śladami jarmarcznych senników, przeraźliwymi echemi „traby ostatecznej” itd. Metoda jak to metoda. Ale zmienić sobie własny rodowód historyczny, swoje społeczne konsekwencje kulturalne i swoją własną ocenę — jako starszego, choć dotychczas surowego, brata i protektora warstw ludowych — nie było łatwo i możliwie.

Lud dorósł? Dorosła idea demokracji wbrew (i pomimo) społecznej masie inteligencji. Zasadnicza różnica, o jakiej mówimy, mierzy się fiaskiem polityki kulturalnej ludomanijskiej inteligencji, jej fiaskiem jako klasy obciążonej dziedzicznie szlacheckimi ambicjami mecenatu narodowego.

Niemniej przed ludowymi dziś instytucjami narodowego mecenatu kulturalnego problem staje nie inny: kulturę zaszczeplić się na zapóźnionych środowiskach — niby z zewnątrz, ogólnie. Instytucja bibliotek wiejskich powstaje — i słusznie — dzięki centralnej myśli planującej — dzięki państwowej inwestycji mocodawczej —

W NUMERZE

między innymi:

R. Bratny — Wiersze

M. Janion — Emigracja — Liga Narodowa

J. A. Król — Model: Chłopi — panowie

P. Chmura — Wojciech Breowicz

W. Breowicz — Do przyjaciół w Ojczyźnie!

S. Cieślak — Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce

Z. Skwarczyński — Rezerwat zmierzającej klasy i jej satelici.

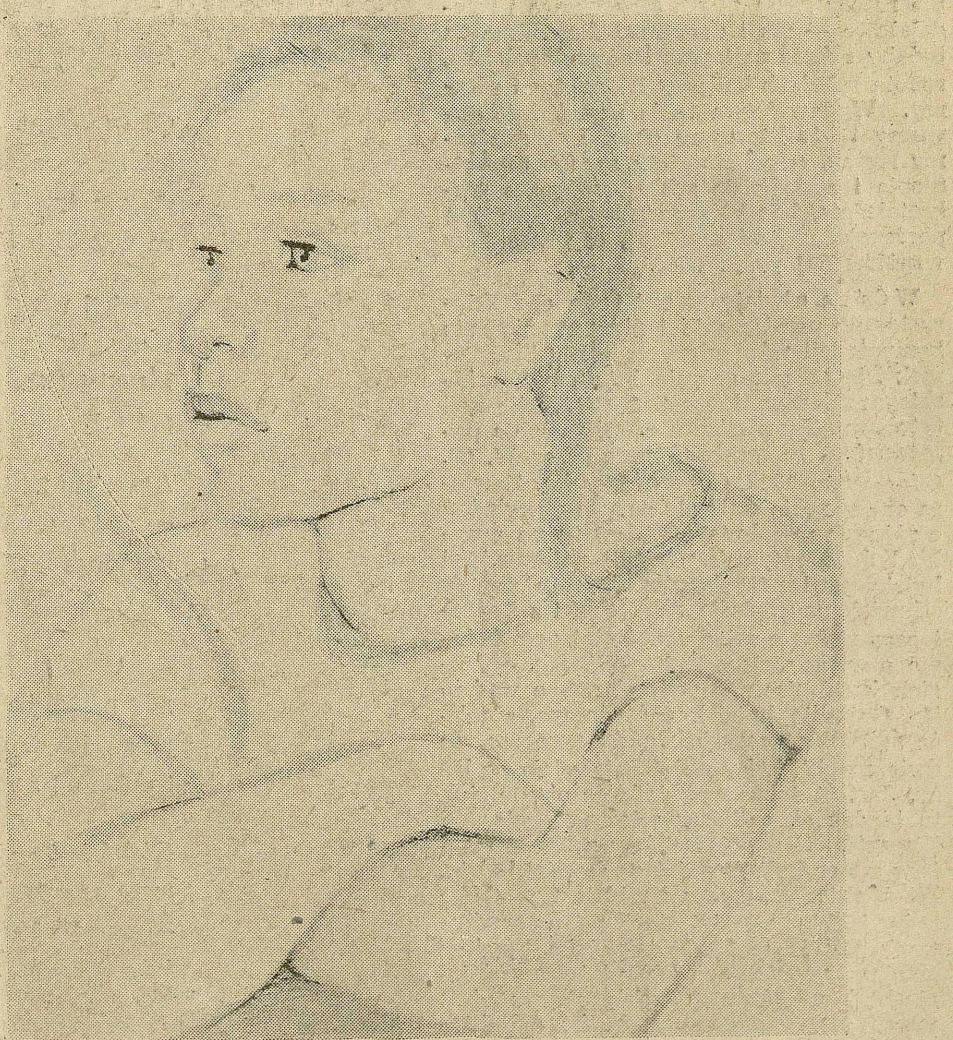
S. Pięta — Niebezpieczeństwo

jeśli można tak szumnie nazwać ustawę — i dopiero stąd rozsądza się w teren. Żeby tylko na grunt jaki taki, żeby się przyjęło. Ten grunt to będzie oczywiście stopień uspołecznienia (społecznego zakorzenienia) innych nowych instytucji i tradycji kulturalnych: szkoły i najważniejszej tu bodaj: Organizacji Młodzieży Wiejskiej.

Nasza inicjatywa biblioteczna ma więcej od tamtej pierwszej cech roboty kulturalnej, bazującej już na jakiejś podstawie oświatowej. Zasadniczo opierać się powinna na szkolnej bibliotece.

Wiemy jednak, że w praktyce dość nam jeszcze do tego daleko, nie będziemy się kłócić o „klasyków” polskiej i europejskiej literatury, którzy w bibliotece muszą się znaleźć. Lecz nie zapominajmy, że „pełna kultura”, o jaką się upominamy dla wsi — to jest przede wszystkim literatura współczesna, aktualna problematyka literacka to jest jednak bez względu na pamflety to, co się aktualnie tworzy i wydaje. A to z powodów ekonomicznych: nielada ułatwienie utrzymania całego życia literackiego — taka sieć pewnych jak mur konsumentów książki, oszczędność energii społecznej (bo któryż pisarz nie uważa się w gruncie rzeczy za wychowawcę?), gesty filtry historyczne — zbyt wiele bowiem rzeczy spływa u nas i bywa albo już nie bywa odrzebywane po latach.

Tomek Piast znalazł dla wsi 60 dobrych książek, napisanych przez oświatowców i dziennikarzy i był zadowolony. I my bylibyśmy zadowoleni, gdybyśmy z książek, napisanych przez współczesnych pisarzy, mogli wybrać 60 z pełnym poleceniem dla wiejskich czytelników. Ambicje nasze wzrosły niewspółmiernie do możliwości nasycenia ich. Lecz tu czyha inny problem. Nie zawadzi ostrożność, której zabrakło Józefowi Bienkowi, gdy w swoim artykule w „Dzienniku Literackim” wy-



rys. M. Beździkówna

stąpił przeciwko wszystkiemu w literaturze współczesnej, co nie jest, lub jeszcze nie może być przyjęte z łatwością przez wiejskich czytelników. (Mówię o powieści, nie o poezji).

Twierdzić, że biblioteka wiejska jako konsument współczesnej produkcji literackiej miałaby stanowić, jakiś zakręt dla samej literatury, jakieś ideologiczne „memento” dla pisarzy — byłoby przesadą. Literatura ma i musi mieć swoje warsztatowe, artystyczne problemy, swoje wewnętrzne, intelektualne osiągnięcia. Są rodzaje twórczości, które nie mogą liczyć na odbiorcę tutaj na wsi, gdzie często albo nie czyta się w ogóle, albo tylko tandetną literaturę albo tylko, Sienkiewicza.

Szczęściem — i nieszczęściem dla współczesnych pisarzy bywał przed nimi na wsi Sienkiewicz i to wcale nie jako autor nowel i „Szkieł węgłem”, rzadko nawet „Krzyżaków”, częściej „Quo Vadis” a przede wszystkim „Trylogii”. W swoim szkicu o Sienkiewiczu („Kuźnica” nr 30, 31, 32, 33 r. 1946) wspomina Andrzej Stawar o zasługach Sienkiewicza dla polskiej książki w rękach scudzoziemskiej inteligencji i dla czytelnictwa na wsi. W szkicu Stawara zawiera się i częściowo wytłumaczenie tej niezwykle poczytności Sienkiewicza wśród chłopów, które świadectwem są np. „Pamiętniki Chłopów” a także pamiętniki „Młodego Pokolenia Chłopów”, Sienkiewicz został przyjęty na wsi nie tyle jako ideolog szlachecko-mieszczanski, ile po prostu jako **romansista** i to operujący, jak stwierdza Stawar, **niewyszukanymi** środkami oddziaływania emocjonalnego. Sama zaś historia, jakkolwiek zabarwiona tendencyjnie szepiła się łatwo na warstwie społecznej, która swojej historii była **dotychczas pozbawiona**, która znajdowała się w ogóle niby poza historią. Świadczy o tym powodzenie historycznego kierunku oświaty ludowej, kierunku lansowanego przez Tow. Szk. Lud. i jego liczne wydawnictwa, których ślady znajdziemy w wielu utworach ludowych pisarzy, np. Kurasia, tak narodo-wo wykształconego, że był nie tylko rzecznym poetą, ale i zażartym endekiem, o czym świadczy jego pamiętnik. Powieści historyczne są ciągle bodajże najpoczytniejszym rodzajem literatury na wsi. Kostium historyczny niewątpliwie spełnia rolę taką, jak cudowność w literaturze hagiograficznej, która była przecież elementarzem wsi. Cóż, można by czekać na chłopską Trylogię. Jest potrzebna.

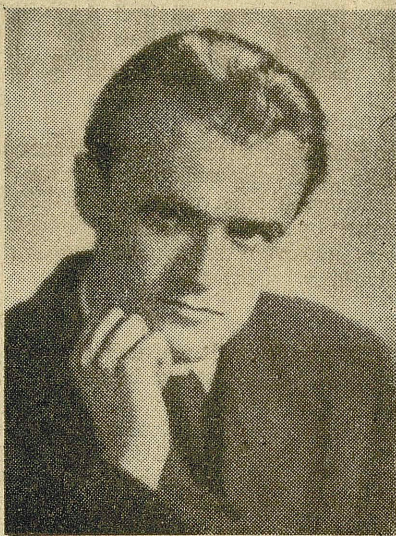
I tu jeszcze raz przyjdzie powrócić do naszej analogii historycznej. Twierdzenie niemal paradoksalne: trzeba nam tworzyć literaturę dla ludu. Nie będziemy namawiać nikogo z literatów aby pisał za pieniądze chłopską Trylogię lub nowe powiastki w rodzaju: „O Kubie Madrali”, „Pocziwy Marcin i Felek niecierpliwy”, „Grzech niepiśmienny” lub „Nasi pracownicy”. Wstydzilibyśmy się słuszenie. Lecz jakieś **zagadnieniowe antologie**, tym razem nie dla bibliofilów, jakieś **historyczno-literackie montaże, zbiory i opracowania z dobrym, nowoczesnym i czytelnym komentarzem** byłyby wydawnictwami pożytecznymi i prawie koniecznymi. Próbuja takie rzeczy robić pisma świetlicowe i młodzieżowe — źle i dorywczo. Potrzebna tu byłaby robota najlepsza i najambitniejsza, robota młodych badaczy literatury i pisarzy. Wydawnictwa takie uwzględnić powinny także literaturę obcą. Lub znajdziemy lepszy, szlachetniejszy sposób uzupełnienia i zastąpienia szkoły, ogólnego wykształcenia, bez którego nie możliwa jest percepcja „pełnej kultury”, czy literatury współczesnej przez wieś.

W dziale oświaty na wsi trwa charakterystyczne pomieszanie i nierozgraniczenie kompetencji między gazetą a książką. Tomek Piast tak opisuje książkę Brzezińskiego: „Bardzo dobrą jest książeczka pod tytułem: „Opowiadania o ciekawych i pożytecznych rzeczach, ułożone przez W. Ol. (Warszawa, 1883. Cena groszy 40). Zawiera ona w sobie dużo ciekawych opowiadań o różnych przedmiotach. Jest tu na przykład dużo o tym „jak żyli najdawniejsi ludzie, nasi przodkowie; „jak to powoli człowiek nauczył się rolnictwa i z koczującego stał się osiadłym. Dalej opowiadania o wielu zwierzętach, roślinach, o drogich kamieniach, o soli, siarce, o wodzie itp. Opisanie ludzi kraju naszego, a także sąsiadów naszych, a do tego dodane dwie mapki, które objaśniają gdzie co leży. Jest tu także opowiadanie o tym, jak to kiedyś obroniliśmy miasto Głogów od Niemców, jak wojowaliśmy z Tatarami i jacy u nas byli dawniej znakomici ludzie. Włościanin gospodarz znajdzie tam także radę, jakby najlepiej skończyć z serwitutami; jak je zamienić tak, żeby ludziom zamiana wyszła na dobre i żeby później nie brakło lasów i pastwisk. W końcu jest tam jeszcze ciekawa powiastka o Doktorze Stachu, który za pieniądze gromadził się uczył i później przez całe życie

Roman Bratny

W I E R S Z E

PIOSENKA DO CIĘŻARÓWKI



Auto — silne, ciężarowe auto.
Szofer je prowadzi — szofer żywy.
Auto objęte demobilizacją
wiezie nie pociski artyleryjskie.

Motor to tyraliera prostej muzyki,
to tyraliera...
biegnie, ginie, zanika —
coraz dalej unosi szofera.

W krótkich minutach postoju
w prostych palcach przelicza
szofer szczęście różowego koloru:
2 bilty do kina.

Szofer wozi gruz warszawskie,
aby na miejscu odgruzowanym
nowe domy i kina niebylejakie
robotnicy budowali.

TANIEC Z ŻYDÓWKĄ

Kiedy dotknę twoich włosów
przypominam: włosy golili — na materace,
i nagle w tańcu cię zaskoczę
krokiem wstecz i nagłym nie pijackim placzem.

Oto muzyka — zabawa ocalonych
— drobnym stapaniem przelatujesz,
jesteś jak znaczek pocztowy,
gdy adres przed sobą poczuje.

W którą świat stronę się toczy
nie wiem,
ale w twoje wargi i oczy
jeszcze się chyba uśmiechnie.

Głos zabitego tenora
śpiewa — wyznacza wirem płyty ślad
stopom żywym — istnym fokstrotom
na wysokich obcasiskach.

Rozchył wargi nad strumieniem muzyki
niech płaska, niech nagle się łśni i przelatuje.
Dawniej tylko z obozowej wieży strażniczej
patrzyły na ciebie oczy czujne.

Ale wierz mi i dawniej ja
— żydowska dziewczyno ocalona —
choć sam z nożem na gardle
nie wahałbym się przywołać cię głośno w ramiona.

Ale wierz mi i teraz ja,
gdy patrzę na twoje ciemne włosy
słyszę jak w nocy świszczę wiatr
i ciebie mi z ramion unosi.

Gdzieś jest — ktoś śpi na nim —
materac z twoich włosów, ocalona,
— to gdzieś w nocy niemiecki mieszczanin
śni: nadejga nowa wojna.

pracował jako lekarz dla dobra gromady swojej i jej służył.

Oprócz tego znajduje się tam siła ładnych i zabawnych wierszy i piosenek najlepszych pisarzy naszych: Konopnickiej, Syrokomli, Lenartowicza i in. Takie rady, jak ratować topielców i zmarzniętych”.

Informator polityczny, publicystyka społeczna, poradnictwo prawne, zawodowe, medyczne, popularyzacja wiedzy przyrodniczej i historycznej, na okrasę kawałki literackie — to schemat **oświatowego pisma** i to także zawartość tej małej ludowej Ekonomiki, która jest niby chłopski Haur, z tym, że sprawa likwidacji serwitutów z korzyścią dla wsi zajmuje tu miejsce zagadnienia: jak utrzymać w ryzach czeladź folwarczną.

Biblioteka wiejska dobrze zorganizowana będzie miała dla prasy niewatpliwe znaczenie. Uniwersalność — jeszcze dziś tak na czasie „Rolnika Polskiego” a także w humanistycznym zakresie „Literackiego Dziennika Ludowego” będzie musiała się przesunąć w kierunku **aktualności i publicystyki**. Wsi potrzebne są nie tylko oczy, ale i wątroba.

Im wyżej w kulturze, tym bardziej klarują się sprawy, tym łatwiej oddzielić wiersze Lenartowicza od sposobów ratowania topielców i zmarzniętych. Biblioteka Ludowa Brzezińskiego zawiera działy: I — książki elementarne i dzieciinne, II — Książki przyrodnicze i geograficzne, III — Książki praktyczne, IV — Książki społeczne, ekonomiczne i prawne, V — Rozprawy moralne, VI — Książki treści historycznej, życiorysy, VII — Powieści, VIII — Luźne zbiorki, IX — Kalendarze i gazety, X — Literatura tandetna (oczywiście poza poleceniami).

W naszej bibliotece pozycją główną będą powieści, tu skromnie zaszerzegowana jako literatura rozrywkowa. Niemniej biblioteka wiejska musi mieć półkę i na inne działy. Robią tu ważną robotę „Czytelnik” i „Książka” swymi popularnymi wydawnictwami naukowymi. Trzeba także przypomnieć, co „W sprawie publicystyki” pisał Piotr Chmura („Wiś” nr 22). Niektóre **cenne pozycje publicystyczne** dałoby się uratować od „spłynięcia” w gazetowy lamus, gdyby się je wydało w zbiorach lub broszurach.

Stary podział bibliotek Brzezińskiego okaże się nie aktualny. Tu dopiero istotny postęp w kulturze wsi. Książki elementarne i dzieciinne przeniosły się do szkoły i przedszkola. Rozprawy moralne, do których Brzeziński zalicza np. Rozmowy nauczyciela o obowiązkach rodziców, Sennik, O karzmie, O modzie papierosianej, Żywot św. Genowefy, Przeraziłwie echo trąby ostatecznej i inne — nie przysługują półki w naszej bibliotece. Moralność przesunęła się widać w kierunku wiedzy. Nie wierzymy w skuteczność traktatów moralnych w zwalczaniu pijactwa i zabobonu. Zbiorki żartów i śpiewek zastąpią wydawnictwa projektowane: wybory literackie i antologie.

Nawet jeśli porównamy to, co Brzeziński uważa za literaturę tandetną w naszym rozumieniu tego pojęcia, stwierdzimy, że posunęliśmy się nawet w negatywie.

My uznamy całą literaturę dla ludu — za tandetną i nie jej nie ponurze „dobra wola”. Natomiast brednie w rodzaju: Siedmiu mędrców, Lampa Aladyna, Turek wojujący, O Ali-Babie, Sowizdrzał, Man-hauzen nowy, Rinaldo Rinaldini, Kartuszy sławny bandyta, Eustachiusz, Mistrz Twardowski itd. zaciekawia nas bardziej niż moralne preparaty „ludzi dobrej woli”. Kol. Budrecki piałby z zachwyty nad tymi okrucami starożytnych i renesansowych wyjątków światowej literatury kryminalnej i sensacyjnej. Zresztą i moja Genowefa, tak szczerwiecznie umieszczona w dziale rozpraw moralnych, tu powinna mieć miejsce jako krwawy romans „dla matek i dzieci”, w których czułościowość i idylla małżeńskiego pożycia, przegody na tle dzikiej natury (kobiety Robinsona Cruzoe) i kazania moralne — mieszają się z dzikimi namietnościami. Takie musiało być to źródło, z którego się Szekspir. Przypomnijmy sobie jakże skrofulicznie i blade wygląda nam Mniszkówna, w czytelnictwie na wsi — córka Genowefy.

Pogarda dla literatury tandetnej stała się konwencją o tyle niebezpieczną, że literatura ta stanowi w wielu miejscach, gdzie zechcemy zainteresować nasze biblioteki, istotne przygotowanie czytelnika. Kto wie, czy „Pustynia kulturalna” nie byłaby czymś szczęśliwszym.

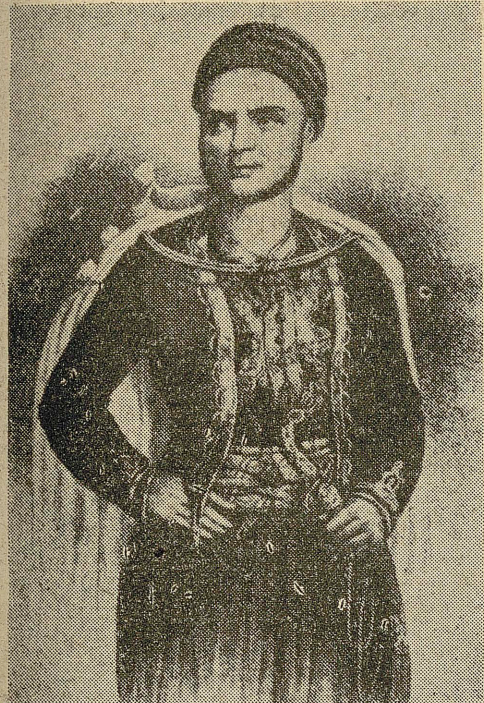
Zdaje się, że wiara w kulturę, wiara we wpływ dobrej literatury okaże się tu koniecznym moralnym dodatkiem do sprawy. A przede wszystkim żywa instytucja: biblioteka i bibliotekarz.

Anna Kamińska

Maria Janion

Emigracja — Liga Narodowa

Zsocjologizowany życiorys T. T. Jeża — cz. II*)



Gen. J. Bem (Amurat Pasza)
Ze zbiorów rapperswilskich

3. WIOSNA LUDÓW.

ZADANIE dziejowe rewolucji 48 roku w krajach Europy środkowej i zachodniej określił Witold Kula w słowach: „likwidacja resztek feudalizmu i budowa kapitalizmu”. „Feudalizm w tych państwach — pisał Kula — funkcjonował coraz gorzej... Potrzeby żywiołowe szybko rosnącej ludności mogły być pokryte tylko w wypadku intensyfikacji produkcji rolnej, ta ostatnia zaś była uzależniona od zniesienia przywilejów feudalnych i od postępów uprzemysłowienia. Te znowu uzależnione były od zniesienia typowych dla feudalizmu ograniczeń prawnych, utrudniających podejmowanie działalności przemysłowej i od powstania większych organizmów narodowo — państwowych, które zapewniałyby szerszy rynek zbytu tworzonemu przedsiębiorstwom przemysłowym”.

Integracja narodowa była celem dążeń mieszczaństwa włoskiego i niemieckiego. Nieco inny schemat przedstawiała rewolucja węgierska. Był to schemat dążenia do rozpadu zaborskiego państwa ponadnarodowego, w którym jeden uprzywilejowany przez państwo organizm gospodarczy może eksploatować i utrudniać rozwój gospodarczy podbitych krajów.

Uprzemysłowienie Węgier leżało w interesie wszystkich ówczesnych klas społecznych, poza grupą arystokracji feudalnej, której rozległość domen wynagradzała słaba wydajność pracy pańszczyźnianej. Tylko wielka własność była opłacalna w ówczesnym stadium rozwoju feudalizmu; o tym wiedzieli także na zbliżonej do Węgier swą sytuacją eksporterów zbożowego Ukrainie.

Stąd płynęło filohabsburskie stanowisko magnaterii, widzącej w absolutystycznej monarchii naturalnego obrońcę porządku społecznego, a w przemysłowej Austrii chłonny rynek zbytu. Inaczej średnia własność. Wprawdzie dobra koniunktura umożliwiała opłacalność jej produkcji, jednak w kapitalistycznych formach pracy najemnej tkwiła możliwość większej intensyfikacji produkcji rolniczej. Rozwój przemysłu narodowego, idący w parze ze wzrostem wewnętrznego rynku zbożowego, pozwoliłby z powodzeniem na rezygnację z eksportu do Austrii. Średnia własność oraz liczna rzesza z reguły radykalnej i promieszczańskiej drobnej szlachty solidaryzowała się zatem z burżuazją i inteligencją mieszczańską w walce z protekcjonizmem austriackim, który pragnął utrzymać korzystny stosunek 500 węgierskich przedsiębiorstw przemysłowych do 10.000 austriackich i czeskich. Stąd mieszczańskie oblicze rewolucji węgierskiej, kierowanej przez Kossutha, który jeszcze w poprzednich latach był znanym oredownikiem uprzemysłowienia kraju.

Antyfeudalne oblicze rewolucji węgierskiej komplikowała niesłychana różnorodność Węgier, w których grupy mniejszości narodowych stanowiły blisko połowę ludności kraju. Ideologia wyzwoleniczej walki narodowej została dzięki temu wzmocniona i wysunięta na plan pierwszy. Stało się to magnesem dla nagminnego polskiego „za naszą i waszą”.

Jeż tkwił bezczynnie czas jakiś w Złoczewie i płacze się w słamazarni działającej gwardii narodowej. Oczywiście chce jechać dalej, Marzą mu się Włochy. Realniejsza jest jednak wyprawa węgierska. W Krakowie i Lwowie powstają komitety pertraktujące z Węgrami o stworzenie legionu polskiego. „Wojna przeciwko Austrii, bez udziału której nie byłoby się rozbiory dokonały i która — wedle przekonania mego — z drogi Polsece usunąć należało” — oto okazja do działania rewolucyjnej młodzieży polskiej. Ze Lwowa rusza bryka naładowana towarzystwem osobliwego nabożeństwa: „urlopnik był chłopem, ja szlachcic, studentów paru, krawczyk, ekonom, czeladnik ogrodnika, który ze sobą rakiety zabrał, muzykant z fletem, aptekarz”.

Jeż zapominał jeszcze o dwóch towarzyszach. Jest wysoce prawdopodobne, że bryka tą jechali także dwaj podróżujący z Warszawy subiekci ze sklepu Mincla: August Katz i Ignacy Rzecki.

Oto opis przeprawy przez granicę: „Nie wiem, kto przewodnika wyszukał, przewodnika górę, który prowadził nas ścieżkami i przeprowadził tuż obok strażnicy pogranicznej. Widzieliśmy strażnika, stojącego z bronią u nogi. Uszliśmy staj parę i wydostali się na drogę, przez las prowadzącą. Czelnik od ogniomistrza jął się rakiety puszczać, a myśmy krzyknęli:

— Niech żyje wolność...

Znajdowaliśmy się na wolnej ziemi węgierskiej. Student na gardło całe „Bartoszu, Bartoszu!” śpiewał, muzykant mu na flecie wtórował.

Ognie sztuczne puszczając, śpiewając i grając, szliśmy przez las i zatrzymaliśmy się przed karczmą, z której nam Żyd arendarz wyniósł wino halbe”.

Skład społeczny legionu polskiego, który sformował się w Peszcie, nie odpowiadał proporcji sił na żydowskiej bryce. „Legion składał się z inteligencji, w połowie ze studentów ze szkół galicyjskich, w połowie ze studentów z kordonu, rzemieślnicy i oficjaliści wchodzili do niego w części nieznacznej, ginęli w masie studenckiej”. (Jeż „Wspomnienia”). Ta przodownicza rola młodej inteligencji mieszczańskiej w kształtowaniu ideologii kapitalizmu i w walce o nią była zjawiskiem powszechnym dla Europy środkowej. Studenci polscy śpiewając „Bartosza” przekraczali granicę węgierską, studenci niemieccy pielgrzymowali ze śpiewem do Wartzburga, gdzie narodził się neuhochdeutsch.

Z kampanii węgierskiej wyszedł Jeż w stopniu porucznika. W r. 1849 Legion polski przekroczył granicę turecką i został internowany w Szumli. Jeż spędził tam jesień i zimę. W Szumli stał się członkiem powstałej w Legionie sekcji Towarzystwa Demokratycznego. „Wytyczyło to dla mnie drogę na przyszłość; w teraźniejszości zaś stało się lekarstwem na nudy i ochroną przed następstwami próżniactwa, które kolegów moich gromadami całymi zapędziło do kart i kieliszka. Gdyby nie dziennik i Towarzystwo Demokratyczne, możebym się z nudów rozegrał i rozpił”.

Niezawodny środek na enotę miał istotnie dla przyszłości Jeża rozstrzygające konsekwencje.

4. NA EMIGRACJI.

Jeż wspomina o „Sylwetach emigracyjnych”, o początkach Towarzystwa Demokratycznego: „Towarzystwo Demokratyczne polskie założonym zostało we Francji r. 1832. Akt założenia, sporządzony d. 18 marca 1832 r., podpisał członków dwudziestu dwóch, wedle pochodzenia rodowego dzielących się jak następuje: jeden chłop, sześciu szlachty wapiłowej, piętnastu karmazynów...”. Jeż podejrzewa, że owa „wapiłowa szlachta” — to ludzie pochodzenia mieszczańskiego. Wyświetlenie tej sprawy nie odegra jednak żadnej roli w ustaleniu społecznej bazy Towarzystwa. Nawet piętnastu karmazynów stało na stanowisku rewolucji mieszczańskiej. Haska wolności i równości, a nawet braterstwa ludów, które w bardziej rozwiniętej strukturze społecznej Francji ukazywały już swą utopijność i podszewkę nowego wyzwisku, były dla Towarzystwa Demokratycznego objawieniem. Akt założenia, sformułowany ogólnikowo, wiązał przyszłość Polski z przyszłością ludów europejskich: „Europa, na której wsparciu Polacy swojej przyszłości mogą budować nadzieję, dziś nowymi o stosunkach towarzyskich ożywiona wyobrażeniami, na nowych organizuje się zasadach, nowe warunki polityczne swemu wskazuje istnieniu. By przeto w niej istnieć, jej podobnym być trzeba”.

Istnieje jednak zasadnicza różnica: ta mikra musi odbyć się przy pomocy innych sił społecznych, niż te, które zburzyły feudalizm francuski. Brak polskiego mieszczaństwa każe Towarzystwu Demokratycznemu dążyć do realizacji republiki mieszczańskiej rękami

chłopów. Akcenty, chłopomańskie silne są już od początków istnienia Towarzystwa.

Pierwsze lata działalności Towarzystwa nie przynoszą wydatniejszych akcji politycznych. Towarzystwo konsoliduje się ideowo, drogą wewnętrznych sporów oddzielając zbyt radykalne ugrupowania socjalizujące. Broniąc własności prywatnej popada Towarzystwo w ostry konflikt z sekcją Grudzią, zawiązaną w Portsmouth, składającą się z samych szeregowców, wśród których zasady socjalistyczne znalazły entuzjastyczne przyjęcie. W wyniku konfliktu ogromna większość Grudziąt zerwała z Towarzystwem, zawiązując organizację pod nazwą Lud Polski i przemianowała się na gromadę Grudziąt. Do Ludu Polskiego przystąpiła zawiązana na wyspie Jersey — gromada Humań. Gromada Grudziąt potępiła Towarzystwo Demokratyczne w następujących słowach: „Towarzystwo Demokratyczne odstępuje szlachty, a na jej miejsce zaprowadza stan przemysłowy, lupekci”.

Wydany w r. 1836 przez świeżo uformowaną Centralizację Manifest Towarzystwa Demokratycznego był jednak, mimo uprzedniej walki z socjalistami, przyjęty z uznaniem przez przywódców socjalizmu europejskiego. Centralizacja odrzuciła wszelkie dążenia do zjednoczenia elementów demokratycznych emigracji, które znajdowały zwolenników i wśród członków Towarzystwa. Centralizacji chodziło o utrzymanie w swoim ręku demokratycznej dyktatury, nieodzownej — zdaniem Towarzystwa — w okresie rewolucji.

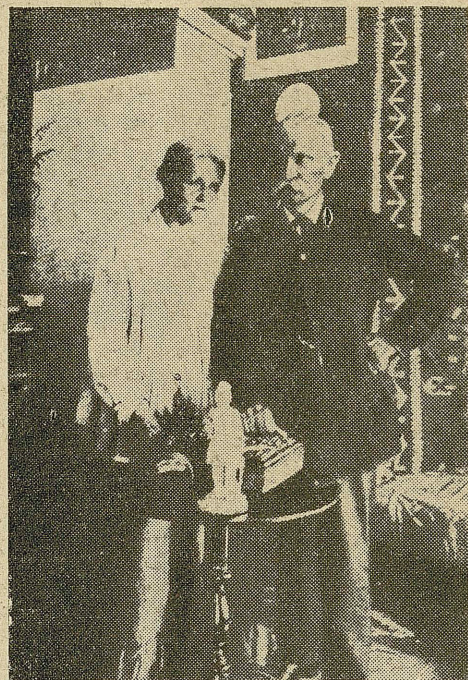
Okazję do żywszego działania następczyły rewolucyjne nastroje Galiicji, które Centralizacja zaangażowała w powstanie 1864 r. Impreza ta, choć nieudana, przyniosła Centralizacji duży kredyt moralny na emigracji. Po opadnięciu fali rewolucyjnej 48 r. Centralizacja zmuszona była przenieść się do Londynu.

W Londynie stawiał się przed nią Jeż, który przybył do Anglii — jedyne kraju europejskiego, pozwalającego na emigrację żołnierzy rewolucji węgierskiej.

Jeż rozpoczął swe specyficzne życie członka Wielkiej Emigracji polskiej. Szczególna ta grupa, oderwana od swego rodzimego społeczeństwa i absolutnie nie aklimatyzująca się jako całość, stanowiła gromadę nędzarzy, żyjących na marginesie systemu produkcyjnego, którego okrucami się żywili. Ich pozycję społeczną wyznaczał jednak nie stosunek do społecznej produkcji otoczenia, lecz udział w sztucznym i pozbawionym szerszej bazy społecznej systemie „wielkiej polityki”. Uboża Centralizacja nie jest w stanie pomóc nowemu „rodakowi”. Jeż przeżywa ciężki okres głodówki. „W ciągu dziesięciu dni jadłem dwa razy” — podkreśla w swych życiorysach i wspomnieniach z nieklamną satysfakcją.

Nedza ostateczna zostaje zażegnana zdobyciem pracy w „fabryce tapetów”. Jeż jest posługaczem, palącym w piecu i rozwożącym po mieście tapety — pozycja niewyjątkowa dla emigranta. Wejście w proletariatus nie oznacza absolutnie jakiegokolwiek pocucia nowej przynależności klasowej, ani solidarności z towarzyszącymi pracą. Emigracja to przecież przeciwny nurtu w partibus infidelium, niedza — to także próba w drodze pielgrzymstwa do wolności. Istnieje jako osobista dolegliwość, nie istnieje jako problem polityczny. Proletariatus okres — nie ostatni w życiu Jeża — kończy się pewnym awansem. Jeż staje się „artystą” w dziale deseniu. Oczywiście, oznacza to tylko poprawę warunków pracy. Prasa zawodowa to właściwie margines działalności emigranta. O pozycji społecznej Jeża decyduje jego udział w opracowywaniu tzw. „kwestii” Towarzystwa Demokratycznego, pisywanie artykułów do „Demokraty Polskiego” i nawiązanie kontaktu zarówno z członkami Centralizacji, jak i z najwybitniejszymi rewolucjonistami europejskimi, tworzącymi w Londynie Komitet Centralny Demokracji Europejskiej.

Ostatecznie Jeż podejmuje z ramienia Towarzystwa nowy tryb działalności politycznej — emisarkę na Ruś. Towarzystwo Demokra-



Zygmunt Miłkowski z żoną

tyczne wykształciło dwa typy emisarki: romantyczne „choźdzenie w naród”, oświatowo-umoralniająca akcja wśród „ludu”, w której wyżywiali się utopijni idealisci demokracji i emisarka polityczna, organizująca szlachtę, mającą umocnić stanowisko Centralizacji w Kraju. Tradycja a także osobiste mitotwórstwo Jeża mówiły o „sianiu ziarna Konarszczyzny”. Do propagandy chłopomańskiej dołączyły się już wyraźne elementy „wielkiej polityki” oderwanej od kraju emigracji. Sprawa chłopka staje się narzędziem polityki. Niemniej odgrywa w ideologii rolę naczelną. Pierwsze powieści Jeża, to powieści chłopskie („Wasył Holub”, „Handzia Zahornicka”). Powstały one w Turcji, dokąd rzucił Jeża koleje emisarki. Hotel Lambert i tzw. enigmatycznie „ogół emigracji” (Wysocki, Mierosławski) rywalizowały tam o wpływ w rządzie tureckim w związku z projektem utworzenia legionu polskiego.

Jeż staje się gorącym zwolennikiem Wysockiego, prowadzi pertraktację z Omarem Paszą w tej samej Szumli, w której parę lat temu stwierdził potępiając Bema: „Z rzemiosłem naszym rycerzy wolności nie zgadzały się islamizm i szeregi tureckie. W szeregi tych przeciwników sobie”. Bliskość wojny z Rosją rozgrzesza skrupuły wroga tyranów. Sprawa naroda znowu pogmatwała bagaż ideowy „rycerza wolności”.

Interwencja Austrii, żądającej wydania niebezpiecznego agitatora, pchnęła Jeża na awanturniczą wędrowkę po Bałkanach. Kontakty jego ze słabym ruchem rewolucyjnym Słowian południowych były raczej luźne. Legenda o bojowniku o niepodległość Słowian południowych powstała później — i to głównie po wydaniu jego południowo — słowiańskich powieści. Dla biednych i ciemnych półdzików Europy nawet popularyzowanie ich sprawy przez opisy geograficzne i przez awanturnicze romanse sensacyjne, kładące największy nacisk na egzotykę środowiska, było widać zaszczytem i „bojowaniem”, skoro Jeż został honorowym członkiem Towarzystwa Naukowego Serbskiego. Jeż zaś — jak wyznał w liście Orzeszkowej — wszedł poprzez furtkę bałkańskiej egzotyki na rynek księgarski Francji i Anglii.

W r. 1858 Jeż wyjechał do Londynu, gdzie został wybrany przez sekcję Towarzystwa Demokratycznego na członka Centralizacji. Lata emisarki, spędzane wśród realnych ruchów rewolucyjnych, w stałych kontaktach z krajem, pozwoliły Jeżowi ocenić sytuację Centralizacji. Ten sztuczny twór, pozbawiony bazy w kraju, a roszcujący sobie ciągle pretensje do zwierzchnictwa, utracił właściwie wszelkie wpływy. Istotne sprawy polskie opierały się o Komitet w Paryżu, uznawany przez kraj, w którym główną rolę odgrywał Mierosławski. Jeż usiłował ratować Centralizację przez nawiązanie ściślejszych kontaktów z Komitetem. Porozumieć się z Mierosławskim jednak nie mógł ani wówczas, ani nigdy już potem, jak tego dowodzi gwałtowny jego pamflet z lat popowstańczych „Ludwik Mierosławski oszkiwowany”.

Już w r. 1859 zrywa Jeż z Centralizacją i przechodzi do Komitetu, stanowiącego właściwie bardzo podobną formację ideologiczną. Znowu przez parę lat mieszka na Mołdawii, starając się nawiązać robotę konspiracyjną w Galiicji i na Ruś.

Powstanie 63 r. uczyniło Jeża pułkownikiem i naczelnikiem powstania na Ruś. Jeż sprawy Ruśi przekazał Rużyckiemu, a sam wrócił do ulubionych machinacji bałkańskich, mających na celu wspomaganie powstania. Upadek powstania uwięził go wraz z rodziną w Belgradzie, skąd w r. 1866 wyjechał już ostatecznie na zachód.

5. DO ENDECIJ.

Emigracja polska w Europie zachodniej po 63 r. posiadała już inne oblicze, niż romantyczny exodus po 31 r. Trudno w tej chwili oświetlić dokładnie przebieg procesów, które zamieniły „cierpiące” pielgrzymstwo w grono statecznej inteligencji mieszczańskiej. Należy jednak stwierdzić, że emigracja polska znakomicie wrosła w ramy burżuazji zachod-



Żalozyciele Skarbu Narodowego (1887).
Siedzą od lewej: Hertel, Miłkowski, L. Michalski, Al. Hirsberg

*) Patrz — cz. I Żywot szlacheckiego liberała „Wiś” Nr 24 (153).

dnio-europejskiej. Dawni żołnierze powstania weszli w proletariaty i stracili kontakty z górą emigracyjną. Nowa organizacja „Zjednoczenie”, do której Jeż wstąpił po powrocie z Serbii, doskonale odzwierciedlała nowy układ stosunków. Na czele stali dawni mniacy rewolucji mieszczańskiej, zawodowi spiskowcy, anachroniczni już w tym okresie, w którym nawet i zacołany „kraj” wszedł w formy gospodarki kapitalistycznej, a na zachodzie front walki społecznej ustalił się na linii burżuazja — proletariaty. Sztandar postępu przeszedł w ręce nowej klasy.

Toteż przeciętni członkowie brukselskiej sekcji „Zjednoczenia” to kasjer, urzędnik bankowy, gieldziarz, profesor, inżynier, paru księży. Jeż także porzuca swą rolę zawodowego organizatora awanturowych rewolucyjnych. Występuje teraz jako zawodowy, powszechnie znany literat, publicysta, walczący z trudnościami finansowymi. Ilekroć utrzymujący dom na stopie średniej, mieszczańskiej zamożności. „Zjednoczenie” przejęło starszowiecki program Towarzystwa Demokratycznego. W zmienionym układzie społecznym łatwe do odcyfrowania hasła mieszczańskiej „równości” maskowały społeczną zachowawczość. To był drugi akt liberalizmu szlacheckiej emigracji.

Stary „kostium ideologiczny” i jednocześnie chwyt taktyczny — chłopomania, pomógł tym formacjom nawiązać bliski kontakt z krajem, gdzie w latach 80-tych, po szybkim załamaniu się ideologii pozytywistycznej, kształtuje się grupa polityczna o wyraźnie chłopomańskim obliczu, wiążącą ją z tendencjami rosyjskiego narodnicztwa. Grupy te opozycyjne zarówno w stosunku do ugodowości politycznej starego pozytywizmu, jak i w stosunku do obojętnej, wówczas narodowo socjalizmu, skupiają się przy tygodniku warszawskim „Głos”. „Głos” propaguje idee wyższości narodowej kultury ludu nad scudziemskimi, zdegenerowaną kulturą miasta i rozszerza po cichu hasła patriotyczne. Koła narodowe krajowe widzą w starej emigracji swego naturalnego sojusznika i przewodnika.

Na emigracji w Szwajcarii Jeż oraz kilku mniej znanych działaczy zawiązują Ligę Polską; w roku 1887 nawiązuje ona kontakt z warszawskim „Głosem”. Pod presją młodzieży krajowej, czczonej tradycje Towarzystwa Demokratycznego, Liga Polska tak, jak niegdyś „Zjednoczenie”, podjęła roszczenia do dziedziczenia jego atrakcyjnej ideologii. Jeż, pierwszy prezes Centrali Ligi Polskiej, napisał deklarację ideową, w której na plan pierwszy wysunął sprawę niepodległości kraju. Ciekawe, że spadkobiercy Tow. Demokratycznego nie podjęli starej myśli „solidarności ludów”. „Zasadą, której się Centralizacja trzymała i w umyśle wpajać będzie, jest, że naród polski na żadną obcą w sprawie swej pomocy liczyć nie może... Będzie oddziaływała przeciwko temu złudnemu marzeniu, że sprawę polską z biegiem czasu Europa sama na porządku dziennym postawi... Istotnie, trudno było oczekiwać od imperialistycznych państw wielokapitalistycznych, aby sprawę Polski same na porządku dziennym postawiły.

Liga Polska miała być organizacją, która skupiałaby inne grupy tajne i organizacje jawne w różnych zaborach, dążące do niepodległości Polski. Ten punkt był naczelnym w pierwszym programie. Należy jednak stwierdzić, że konsekwencją w zakresie programowym Liga Polska nie grzeszyła. Półoś-Malinowski, autor źródłowej książki o Narodowej Demokracji, stwierdza, że ogłaszał w Muzeum Rapperswylskim dwie różne deklaracje ideowe, które używane były do kaptowania sobie stronników w różnych środowiskach.

Lidze Polskiej, jak rzadko której organizacji ideowej, zależało na przeprowadzeniu konsolidacji wszystkich żywiołów narodowych, na pozyskiwaniu możliwie wszystkich.

O ile w pierwszej deklaracji, sporządzonej przez Miłkowskiego, mówiono o niepodległości, o tyle w uchwalonej już w następnym roku deklaracji genewskiej mówiło się tylko o skutecznej obronie praw całej narodowości polskiej.

Jeż — piękna postać dekoracyjna — był w dalszym ciągu efektywnym reprezentantem oficjalnym Ligi, wysyłanym np. w r. 1900 do Ameryki dla pozyskania Polonii amerykańskiej. Właściwą politykę robiono już obok niego. Polityka ta była niestychanie chwiejna. Zapoczątkowany przez Jeż „Skarb Narodowy” był przeznaczony w pierwszych latach na „obronę czynną”, co odrzucało bardziej ugodowe elementy. Np. ziemianie z Kijowszczyzny zebrane już 3 tys. rubli przeznaczyli nie na Skarb, ale na szkoły polskie, lekając się, że „Zyg. Miłkowski na co innego zbierać nie może, tylko na wyszukiwanie powstańców”. W czasach późniejszych jednak Skarb Narodowy był używany tylko na organizacyjne potrzeby endeckich stowarzyszeń, które wyszły z Ligi Polskiej oraz na oświatę ludową.

Chwiejność Ligi Polskiej musiała wynikać z zasadniczej różnicy w ekonomicznej podświe haseł niepodległościowych. Dla prokapitalistycznej emigracji, nie mającej — mimo tradycyjnej ludomani — zrozumienia dla antyurbanistycznych mrzonek narodniczkich, niepodległość i zjednoczenie ziem polskich były konieczne dla sanacji gospodarki kraju. Dla antymieszczańskiego „Głosu”, który widział, że symbioza z Rosją stwarza pomyślną koniunkturę dla przemysłu polskiego, niepodległość to jedyny środek ocalenia rodzimej kultury narodowej. Z czasem różnice te stały się nieistotne wobec taktycznej konieczności solidarystycznego zjednoczenia wszystkich grup społecznych, które stały na gruncie nacjonalizmu i obrony własności prywatnej, we wspólnym froncie an-

tysocjalistycznym. Napór nowej klasy skonsolidował siły zachowawcze.

Endecja porzuciła ludomanię, by przejść na pozycje mieszczaństwa — do obrony wielkiej fabryki i drobnego kramiku. A wreszcie wraz z burżuazją podjęła hasła ugody. W roku 1904 Roman Dmowski pojechał do Japonii, by przeciwdziałać nawiązaniu kontak-

tów między PPS a rządem japońskim, jako wystannik przedstawicieli wielkiego przemysłu, lekających się rewolucji.

Takie było ostateczne podzwonne idee Tow. Demokratycznego. Jeż jednak tej ostatniej metamorfozy już nie przeszedł. Rozgoryczony i oburzony polityką endeckiego Koła Polskiego w Dumie ustąpił manifestacyjnie w

roku 1908 ze stanowiska prezesa Skarbu Narodowego. Od tej chwili usunął się zupełnie od życia politycznego. Umarł w roku 1915.

Ostatni Mohikanin szlacheckiego liberalizmu, stojący całe życie na pozycjach ideologii swej klasy, został — w zmienionym układzie warunków społecznych — wraz z całą klasą przesunięty na drugą stronę barykady.

Marja Janion

Piotr Chmura

WOJCIECH BREOWICZ

Nadszedł do nas z Brazylii list od pisarza chłopskiego spośród polskiej emigracji chłopskiej. Napisał go Wojciech Breowicz. Napisał wierszem.

Dlaczego wierszem? Dlaczego strofami poematu Konopnickiej z lat 1892—1897 r., kiedy to masy zrozpaczonego chłopstwa emigrowały na oślep za ocean? Kiedy Dygasiński, chwilowy towarzysz okręgowy, korespondent jednej z wypraw stawiał ich los pod znakiem zapytania, a Konopnicka przetopila „niepewne” i „straszne” w mit zwycięskiej walki chłop polskiego z puszcą podwrotniową na okraju świata.

Kim jest W. Breowicz? Gdyby jego zapytać — powiedziałby: „pisarz ludowy”. A ludowy oznacza tu dwie rzeczy. Jedną, że posługuje się konwencjami literackimi już z historii literatury, z historii minionych sytuacji społecznych jakie wyłoniły owe rodzaje i konwencje. Druga — charakteryzuje te konwencje nie to, że pochodzą z parnasu poezji i nie to, że obejmują wielką rozpiętość czasów, ale, że całkiem określona tradycja, wszczęta w 90-tych latach ubiegłego wieku patronuje piarstwu chłopów, takich jak Breowicz, w wyborze wzorów literackich, tematów i rozwiązań.

Oto jej prolog. W r. 1877 wielki wiec chłopski ks. Stojalowski, we Lwowie w dwa lata później jubileusz w Krakowie Kraszewskiego, który prezentuje chłopskiego poetę Szarka „starszym braciom”. W pięć lat potem (1884) „Ogniem i mieczem”. W następnym roku B. Wyslouch (który odrzucił od grupy „PROLETARIATU”) ogłasza we Lwowie program „Polski Ludowej”. Równocześnie nowo-założony „Głos” piórami Popławskiego i Potockiego przypisuje kulturze ludowej odwieczną i zupełną filozofię i naukę. W r. 1888 „Wędrowiec” z Dygasińskim i Witkiewiczem wzmacni ten kurs. Rok 1890 — Przeniesienie zwłok Mickiewicza na Wawel. Manifestacja 3 Maja w Warszawie. Kto patronuje tym manifestacjom? Do czego zostaną wykorzystane? Prolog skończony.

Teraz sam dramat. Dziesięć brzemennych lat. 1891 — założenie Towarzystwa Szkoły Ludowej — o programie, jaki przygotował prolog. Do kultury „starszych braci”, do Polski wspaniałości szlacheckiej, z umiarem wiążącym dla stanowej odrębności pozycji i zadań... odwiecznych chłopów. Bo zaczyna się wyścig. W r. 1892 — powstaje Polska Partia Socjalistyczna — A Konopnicka pisze Pana Balcera w Brazylii, legendę o pionierach! 1893 r. — rocznica zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem. W Krakowie ks. Stojalowski z 12.000 chłopów. Tu czy tam? Bo w rok potem z prologu (Liga Polska, Liga Narodowa) wyłania się Narodowa Demokracja, a w 1895 powstaje Towarzystwo Ludonawcze „Lud”, przyciągając pierwsze kadry inteligencji chłopskiej.

Wr. 1900 dwie powieści o wsi: „Chłopi” Reymonta i „Komornicy” Orkana. W r. 1901 Wesele Wyspiańskiego. Linia reymontowska zwycięża, by zapanować na dziesiątki lat.

Wojciech Breowicz

DO PRZYJACIOŁ W OJCZYZNIE!

(zamiast indywidualnych odpowiedzi na listy)

Kochani moi!

Dziękuję Wam spałem

Za listy Wasze — bratnią pamięć o mnie —

Które tchną mocą, rozmachu żywiołem,

Wiarą w Człowieka jasnieją ogromnie

I pełną pierśią głoszą nowe światy,

Grzmiać hukiem maszyn, poszumem zbóż siewnych,

Prężnością gmachów idących w błękit,

Jakby pod różdżką czarodziej — królowy —

Aby nie było głodnych, ni bezdomnych

W Nowej, powstałej z krwi — Polsce Ludowej!

O tym sniłem w wysiłekach ogromnych

Tu — my, wygnańcy — skromny huf orłowy,

Orząc dusz rolę — gdzie śpi puszcza głucha

Na szlakach świata.

O! myśmy nie winni,

Że nie byliśmy wraz z wami tam czynni —

Bośmy pełnili tu straż krwi i ducha!

Był czas, że stałem na szanach wraz z wami

W wichrach — i zrojem szlak walki znaczyłem —

Dziś jak w cud patrzę w waszą władczą siłę

Pod zwycięskimi Pracy sztandarami!

Pytacie w listach, czy nam życie mile

I czy nas wielu w tych puszczech bez końca?

Setki tysięcy wygnańców.

Zar słońca

Pije krew naszą w dzikiej leśnej kniei,

Która pochłania nas jak lawa wrąca —

I nie ma dla nas już żadnej nadziei,

Bo nie wrócimy — bo nie mamy za co...

Rabując gór szczyty, kopiemy je gracją,

By litr pszenicy posiać na rowiznie,

Gdy „biedak” korzec sieje tam — w Ojczyźnie —

I tak się w świecie śiły nasze tracą...

Co roku drą nas jakieś nowe plagi:

Malaria, ptactwo, szarańcza, posucha —

I choć nam nie brak męstwa ni odwagi,

Jednak nam brak już cierpliwości ducha:

Ciągłe od rowa dźwigać byt powszedni —

I wstyd nam, żeśmy mimo pracy — biedni!

Jesteśmy liściem w dalach zagubionym

I nawet ta nas nadzieja nie krzepi,

Że nasz wysiłek da choć marne plony,

Że chociaż wnukom naszym będzie lepiej,

Bo wnuki zgina...

Tą potęgą krzepy,

Jaka nam jeszcze w barach nie zastyga

My, polskie Kozły, Krzywydy, Bruzdy, Rzepy,

Winniśmy — nie tu! — lecz tam orać, dźwigać,

Huczeć wraz z wami maszyną, traktorem!

Księżyc idący ponad czarnym borem

Z waszych mi listów wyczarował Macierz,

Z listów mi waszych stworzył dzwon, co woła

Lud do powrotu.

Ściskam dłoń twą, bracie

Nad Nysą, Wartą — i na wszystkich siołach,

Gdzie słyszę pracy waszej górne granie

I gdzie by serce me chciało...

Wygnańiec.

Lasy parańskie, 30.5.1948 r.

Jan Aleksander Król

MODEL: CHŁOPI — PANOWIE

(z okazji dyskusji o nauczycielstwie)

Wznowiona przez „Więś” dyskusja o nauczycielach, wskazuje już w kilku pierwszych głosach na bardzo ważny etap, na jakim znajduje się obecnie sprawa nauczyciela i szkoły, szczególnie na prowincji i na wsi.

Trudna, ciężka jest sytuacja materialna nauczyciela. Dlatego nie ma wypowiedzi, która by na nią nie wskazywała. Ale nie ma też wypowiedzi, która by na niej kończyła.

Schemat dotychczasowej dyskusji wygląda tak:

- 1) Budżet, ale kto nas okrada?
- 2) Budżet, ale gdzie nasz Pstrowski?
- 3) Budżet, ale gdzie nasze pogotowie rodzicielskie?

1) Okrada nas lekarz (2/5 pensji za wizytę, krawiec (2/5 pensji za uszycie ubrania), pół-piętro liberalno-kapitalistycznej wolnej inicjatywy.

2) Pstrowski to symbol klasy robotniczej, która jest producentem materialnych towarów. Suma wszystkich materialnych towarów stanowi globalny dochód społeczny narodu. Z tej sumy i tylko z tej opłaca się wszelką inną pracę. My bezpośrednio nie zapracowujemy na byt, my pieniądze nie wytwarzamy. Ale pośrednio możemy, nasi uczniowie (przyszli producenci na różnym poziomie wiedzy i umiejętności), w dużej zależności od naszego wyposażenia (w wiedzy i ideologii) będą produkować materialne towary — lepiej i więcej lub mniej i gorzej. Kto jest naszym Pstrowskim?

3) Zadaniem nowego ustroju jest dać masom narodowym nowe zakresy prac z szansą na dobrobyt. Szkoła staje się dlatego sprawą rodziców. Nauczyciel na prowincji musi wywołać pogotowie rodzicielskie, jako nowe, masowe zjawisko społeczne. Rodzice muszą zobaczyć w szkole narzędzie powszechnego awansu społecznego i dobrobytu swych dzieci. Muszą uwierzyć i działać społecznie na rzecz rozbudowy szkół i kadr nauczycielskich. Czy nauczyciel walczy o pogotowie rodzicielskie?

Dyskusja przyjęła z miejsca — jak widać — wyraźny kierunek. Wyznaczyły go dwie sprawy: 1) rodzaje zależności społecznych, jakim podlega obecnie nauczycielstwo (rodzice chłopów, inicjatywa prywatna, robotnicy), 2) nowa rola nauczyciela wobec środowiska rodzicielskiego i młodzieżowego.

Jeżeli **nowa** to **słusunek do jakiej starej**? Na to pytanie odpowiada dwukrotnie prof. Chałasiński. Raz w „Młodym Pokoleniu Chłopów” (1938), drugi — w „Społeczeństwie i wychowaniu” (1948).

Stara, tradycyjna — zamknął w formuły: 1) układu klasowego: chłop — panowie, 2) szkoły — jako drogi pańskiej kariery, 3) nauczyciela — jako „całym swoim stylem życia należącego do innej sfery społecznej” (innej niż chłopskie środowisko rodzicielskie) — do grupy „pańskie”.

Czy taka klasyfikacja przedwojennej sytuacji wsi, przedwojennej roli szkoły i pozycji nauczyciela jest metodologicznie użyteczna tzn. rzeczywiście wyjaśnia niedawną przeszłość, a która trzeba zrozumieć i określić, aby wiedzieć jak z niej i ku czemu wyjść?

Nasuwa nam się wątpliwość. Zaczynamy od nowego głosu w dyskusji o nauczycielach. Jest to głos nauczyciela, terenowca, Jana Marszałka. Posłuchajmy...

TRACENIE AUTORYTETU

„Pozycja nauczyciela w środowisku wiejskim do niedawna jeszcze miała tak znaczny ciężar gatunkowy, że na wsi nie mogło się nie odbyć bez udziału czy choćby tylko bez narady z nauczycielem. I co ciekawsze, dotyczyło to zarówno nauczycieli typu „Siłaczki”, jak i zwykłych śmiertelników. Nauczyciel siłą stosunków miejscowych zostawał wciągany w orbitę spraw swego nowego środowiska. Oczywiście mógł się wykazać mniejszą czy większą aktywnością. Naogół jednak wykazywał się postawą czynną, gdyż to powodowało rewanz ze strony wsi w formie powszechnego szacunku i poważania. Nierzadko ten platoniczny rewanz przybierał bardziej materialne kształty. Inna rzecz, że wiesz w stosunku do nauczyciela nie potrafiła się wyżyć pokory i uniżoności, jaka cechowała chłopów wobec świata „panów”.

Tak było dawniej. Do r. 1918 i w kilka lat po odzyskaniu niepodległości. Gdy rzadka — zwłaszcza na terenie b. Kongresówki — sieć szkolna nie tylko utrzymywała wieś w ciemności i zacofaniu, lecz stwarzała jednocześnie wokół osoby nauczyciela atmosferę szacunku i poważania. Poważano wówczas się o światy, nie tylko za jego społeczną aktywność i uczynność, lecz przede wszystkim za to, że stał o całe niebo nad poziomem umysłowym przeciętnego chłopca. Były to czasy wielkiego autorytetu osobistego nauczyciela.

W następnych, międzywojennych, latach zaszły jednak w tych stosunkach dosyć istotne zmiany. Anna Kamińska w zagajeniu dyskusji o nauczycielstwie pisze: „O ile więc dla kobiet nauczycielek charakterystyczna była raczej deklaratyka, o tyle dla mężczyzn nauczycieli **pochochających przeważnie ze wsi** — (podkreślenie moje) — i matych miasteczek zawód nauczycielski był drogą awansu społecznego”.

Nie wszyscy absolwenci tych dawnych seminarów pracowali potem w szkolnictwie powszechnym na wsi. Niektórzy zatrudnieni zostali po miastach i miasteczkach. Innych ograniczano z roku na rok budżet Ministerstwa Oświaty wbrew interesom społecznym (analfabetyzm), zmuszał do szukania zajęcia poza zawodem nauczycielskim.

Jednakże ci, co szli na wieś, (drugie dziesięciolecie) o ile możliwości starali się wracać w swoje rodzinne strony, jeśli nie na tę samą wieś, to gdzieś w pobliżu, do sąsiedniej gminy. Kształcenie syna chłopskiego coraz bardziej naruszało finansowe podstawy gospodarki chłopskiej. Po uzyskaniu więc nominacji nowo upieczony nauczyciel czuł się w obowiązku podeprzeć nadszarpniętą gospodarkę, a to w znacznym stopniu było uzależnione od jego miejsca zatrudnienia. Łatwiej było dopomagać najbliższemu, mieszkając w pobliżu, a i samemu jakoś koniec z końcem wiązać. Przez to jednak nauczyciel **tracił wiele ze swego autorytetu osobistego**. Poprzez wiezy rodzinne często bywał wciągany w wewnętrzne bynajmniej z jego pracą nauczyciela i działacza społecznego niezwiązane spory i antagonizmy. Takiemu nauczycielowi trudniej było utrzymać ponadwsiową pozycję, jaka była jego przywilejem do czasu oswojenia się chłopca z instytucją szkoły i osobą nauczyciela. Na podkreślenie zasługuje tu jeszcze fakt, że nauczyciel rzadko wchodził powtórnie w środowisko wiejskie, inaczej, jak nie w charakterze członka klasy inteligencji. A to się niejednemu, co śmielszemu chłopcu, zaczynało nie podobać. Bo chłopie społecznie i politycznie ośmielił się bardzo od lat kryzysu, a zwłaszcza lokalnie (strajki rolne).

Łata wojenne przyczyniły się jeszcze bardziej do odburzowania wyższości społecznej nauczyciela. Nauczyciel coraz częściej staje się w tych latach jednym z wielu członków lokalnej społeczności chłopskiej.

Okupacja, prześladowanie nauczycieli i konieczność ukrywania się u znajomych chłopów zburzyły niemal doszczętnie barierę dzielącą ich od wsi.

Marszałek swoim opisem uderza w jedną z formuł prof. Chałasińskiego.

Czy pozycja socjalna nauczyciela nie uległa **degradacji** w ocenie wsi? Czy nie rozleciał się schemat „pańskości”?

Marszałek wskazuje na postępujące tracenie autorytetu społecznego przez nauczyciela z kilku powodów.

1) Funkcja szkoły i nauczyciela w ciągu pierwszych 30 lat XX w. została wyraźnie odizolowana od religijno-moralnych plebanii.

W opinii wiejskiej przestano łączyć z sobą te dwie instytucje. Przestał na szkołę spadać blask plebanii i kościoła. Pozycja społeczna („pana” — inteligenta) nauczyciela, stawiająca go nadal obok proboszcza na tyle dała się utrzymać, na ile opłacał „widziaty się” **zawód** nauczycielski. Pensja przychodząca „z góry” dawała przewagę nauczycielowi, w przeciwieństwie do proboszcza żyjącego z dyktowanych (wysokich) opłat za pogrzeby, śluby, chrzty i z ofiar wciśniętych kazniami. Pensja uciniała możliwość konfliktu społecznego i przedłużała ocenę „pana”. Ale z „pensją” działo się coraz gorzej. Od lat 30-tych — katastrofa. Zmniejsza się ilość szkół i nauczycieli. Panującym jest typ szkoły I-go, II-go stopnia (50 proc.). Kościoły szkolne nie imponują, nie prowadzi z nich droga dalej. Traci autorytet instytucja, traci nisko-płatny nauczyciel. Wraca uczyć do wsi rodzinnej, aby ratować się udziałem w gospodarstwie rodzinnym. Tu swojak do reszty zostaje odarty z autorytetu.

2) Program szkoły w Polsce lat międzywojennych coraz szczegółowiej opracowywany był przeciw warstwie chłopskiej. A musieli go wypełnić nauczyciele.

Program wychowywał do Polski „stanowej”, ograniczał wiedzę o potrzebie rozwoju tych dziedzin gospodarczego życia, jakie otwierały ujście dla ludności chłopskiej i możliwości awansu. Szkoły się kurczyły ilościowo i na swoich piętach (jedno 2-u klasówek).

Równocześnie rosła świadomość polityczna wsi, ruch organizacyjny. Powstawał i zaostrzał się dlatego konflikt ze szkołą. Była w programie „sanacyjna”, malała ilościowo, traciła wyższe oddziały. Sieć szkół stawała się za mała i za słaba, aby panować nad wsią. A jej treści ideologiczne budziły polityczny protest.

W deklaracjach Wiciowych i czołówek Młodej Myśli Ludowej (Niecko, Miłkowski, Solarz) pojawia się idea „szkoły chłopskiej”, funkcjonującej poza szkołą państwową, o programie w rezultacie jeszcze węższym (patrz: „Młode Pokolenie Chłopów”), acz bardziej praktycznym, ale w systemie wsi odciętej, wracającej do gospodarki naturalnej. Ta nowa szkoła stanowa prowadzi do własnego powszechniaka do Uniwersytetu Ludowego. W tendencjach tych wyrażał się ruch emancypacyjny wsi — „sami sobie” i „przeciw wszystkim”. W szerszej perspektywie historycznej należy go — zdaniem prof. Chałasińskiego — ocenić pozytywnie. Było to **formalne** odcinanie się od klas panujących. Ale niestety **tylko formale**. Treści bowiem kulturowe zawierał ten ruch. (U. L.) inteligencja z okresu **pożytywistycznego** (historia, jako nauka moralności, „anielskość chłopów”, antyindustrializm, swoisty rasizm środowiskowy, honorowość starożytnego stanu).

Podobnie treści społeczno-gospodarcze: socjalizm przedkapitalistyczny, oparty na ekonomice regionalno-lokalnej i chrześcijańskim współzyciu historycznych stanów.

Te tendencje, nurtujące wieś, Stronictwo Lud. o silnym skrzydle dawnego Piasta i sztab M.M.L. nie wrożyły nie dobrego nauczycielowi na lokację państwową (i sanacyjnej). Jego i szkołę wieś zaczynała sypać poza nawias życia i własnych społecznych dążeń. Została w ten sposób **podkreślona** ujemnie jego rola inteligenta i pana. Tu — chłopska

stanowa szkoła, tam — on, członek innego stanu, kształcący na użytek tych, którzy mu dali mandat.

Wyrastał i drugi konflikt. Nie na darmo mówi się o radykalnych tradycjach nauczycielstwa polskiego. Otóż, szczególnie młodszymi było po roku 1935 wielu takich nauczycieli, których nazywano „komunistami”. Ci rzeczywiście byli w starciu z sanacją (podobnie, jak i ruch chłopski — centrum i prawe skrzydło), ale oni mierzyli w nią celnie. Ich rewolucjonizm parł do zmiany ustroju, w którym pękłaby „stanowość” wsi (obronna — pamiętajmy), oni widzieli jedność chłopsko-robotniczą z bliższymi jej konsekwencjami ustrojowymi. I dlatego, nie rzadko mając mir w bliskiej okolicy, na większą skalę byli w wojnie z tendencjami (a więc i ruchem) izolacyjnymi wsi.

Tak czy owak trzeba wziąć pod uwagę to, że w ocenie wsi:

1) Obniża się **ekonomiczna wartość zawodu** nauczyciela, dlatego zacieśnia jego kontakt ze wsią.

2) Zmniejsza znaczenie szkoły, jako narzędzia lepszego losu.

3) Zwiększa śmiałość społeczna chłopów — wytwarzając konflikt z sanacyjną szkołą.

4) Radykalne i postępowe formy tej śmiałości otwierają możliwości na wzrost autorytetu nauczyciela, autorytetu „nie pana” a swojaka-rewolucjonisty.

MODEL niezmiennej pozycji społecznej nauczyciela czy DZIEJE nauczyciela, zmieniające jego pozycję społeczną? Staraliśmy się wykazać, że typologia na nieograniczone historycznie modele ma się z prawdą historyczną.

U prof. Chałasińskiego występują jeszcze dwie inne pary modeli: **chłopi i panowie** oraz **szkoła pańska i szkoła chłopska**. Górującym był model panów i szkoły pańskiej. W konflikcie społecznym wygrać powinni chłopi i szkoła chłopska. W porządku następującym: przez szkołę chłopską — chłopi. Zmiana historyczno-społeczna polegałaby więc na utrzymaniu się na placu boju tylko modelu chłopów i na jakimś dosytnym tego modelu wypełnieniu się chłopskością.

Rozszyfrujmy model chłopskiej szkoły. Wyproszcza się ją z pastwiska. **Pastuch i uczeń** to przeciwieństwa. W pastuchu jest chłopskość (związek z rodziną, gromadzką i pracą), w uczniu — pańskość (choćby nim został pastuch), bo szkoła powszechna zakładała w uczniu postawę człowieka wolnego od pracy dawała „nową legitymację społeczną”, inną niż miał ojciec i matka i rodzeństwo, kierowała najodolniejszych do szkół, kształcących na inteligencję, obcą wsi. Od pastucha zaś szła droga chłopskości do... Uniwersytetu Ludowego. Uniw. Lud. „naprowadzał młodzież chłopską na odkrycie człowieka w niej samej. Robił to przez wiązanie chłopskiej młodzieży z utopiami ludzkości, z ideą człowieka przewijającą się poprzez tę utopię” (str. 273).

„Warstwa chłopska w Polsce wchodziła w swój okres bohaterski, z jakiego dawno już wyszły inne, wcześniej uformowane warstwy społeczeństwa polskiego”, bohaterski, bo wszystkie wielkie ruchy społeczne „zeglują pod znakiem idei i człowieczeństwa”. Cechują je dwie fazy: 1) „odkrywanie człowieka”, 2) racjonalizacja programów techniki działania. „Początki ruchu socjalistycznego cechuje utopijność ideałów, ale z utopiami tymi wiąże się realny proces — odkrywanie człowieka”. W tej właśnie fazie — zdaniem prof. Chałasińskiego — była warstwa chłopska (reprezentowana przez młodzież) przed wojną. W bohaterskim okresie: — „pod nogą pastucha rodził się mit chłopskiej Polski, wprowadzający chłopca na szeroki szlak narodu i ludzkości”.

Do czego ten model się odwołuje? Do „uderzającej prawdziwości”, jaka powtarza się w ruchach społecznych. Na początku — „utopie ludzkości”.

Jeżeli spełnienie „prawdliwości” byłoby w historii wystarczające, tzn. znaczyło **zawsze to samo**, wystarczałaby również nauka, budująca modele i ciesząca się tak np. szlachetnym modelem, jak początek ruchu społecznego (z klasy wielkich), który wiąże idee człowieka z utopiami.

Ale sęk w tym, że taka typologia modelowa bierze rozbrat z historią. Przecież nie można zakładać, że z każdą warstwą wiązana jest możliwość nowego ustroju (jej ustroju). A trzeba by to założyć, kiedy bohaterskim okresem wsi nazywa się lata po 30-te z utopijną ideologią człowieczeństwa w Wiciach i M. M. L. I przyjmuje się to założenie (milczaco), skoro model został porównany z socjalizmem utopijnym. No tak, wiemy, jak to było i co z tego wynikało. Był rok 1848. Klasa robotnicza „bowstawała”. Jej pierwsza rewolucja, właśnie, że działająca w myśl dyrektyw utopijnej socjalizmu, musiała przegrać. „Robotnicy — wówczas, jak pisał Werfel — myślą, że republika, że powszechne prawo wyborcze potrafi zagwarantować ich interesy przeciw burżuazji. Hasło „prawo do pracy” jest hasłem teoretycznym naiwnym. Robotnicy Francji nie znali Manifestu Komunistycznego. Nie wiedzieli, że aby zrealizować hasło prawa do pracy trzeba wywalczyć kapitalizm, obalić ustrój kapitalistyczny, a przede wszystkim — **wydrzeć kapitalizm z władzy państwowej**”. Jaki wynik? „Wiosna Ludów to ostatnia w Europie zachodniej i środkowej próba oczyszczenia drogi pod dalszy rozwój kapitalizmu **przez ludową rewolucję, radykalnymi plebejskimi metodami**”.

Czy **przewidywana** wówczas proletariatu była **przerzucana** tylko proletariatu? Czy to tylko ważne, że on się bił (a chłopci — nie), a nie to również, że bił w kapitalizm (w ustrój),

który z latami miał coraz ostrzej pauperyzować i proletaryzować wieś, rozwarstwiać ją wewnętrznie, skłócać klasowo, przeszerzować na grupę kapitalistyczną i grupę wyzyskiwanych po równi z robotnikiem przemysłowym? Czy krwawe doświadczenie proletariatu w r. 1848 a raz jeszcze w komunie paryskiej, a raz jeszcze w zwycięskiej rewolucji bolszewików — to nie były ofiary za cały świat ucisku kapitalistycznego? To nie były nauki dla innych warstw zapóźnionych i gnębionych?

Jeżeli bawić się w „prawdliwość” to owszem, „uderzająca” była utopijność U. L. wyci i gór Wiciowych w tym, że **groziła działaniem** (analogia formalna) 1) nieskutecznym i 2) wymierzonym przeciwko warstwie chłopskiej!

I w rachunku politycznym tak było w te lata po 30-te. Mur od wschodu, wiara w demokrację zachodnią, front ludowy bez komunistów, chrześcijański kult solidaryzmu (co się wykladało na parlamentarizm i liberalną grę sił społecznych), utopijny odwrót od ekonomii kapitalizmu z okresu koncentracji produkcji i finansów do fazy wczesno-liberalnej, drobnej produkcji i drobnej wymiany, decentralizacja gospodarcza, na rzecz lokalno-regionalnej i obawa przed klasą robotniczą (i marksizmem), że podobnie jak panowie (czyli szlachta) i jak mieszczaństwo zmieniać będzie „legendarną wieś” (ze słowiańszczyzny) i w legendarną nie pozwoli jej wrócić.

Jeszcze co do „prawdliwości”. Utopię cechują nie tylko początki ruchów społecznych, ale również ich epilogi. Od drugiej połowy wieku 19-tego, rodzą się one, jak grzyby po deszczu właśnie w łonie tych klas, które z kapitalizmem pozostają w związku, które są przezeń degradowane (jak ziemiaństwo, inteligencja, drobno-mieszczaństwo, potem średnie i nawet przemysłowe), ale nie spadają jeszcze na dno proletariatu, a jak inteligencja pełnią zadania „usługowe”, odróżniające się charakterem „umysłowym” od tzw. pracy fizycznej. Stąd to mamy kolejne emisje: estetycznej i moralnej negacji industrializmu, regionalistycznych poprawek do kapitalizmu, powrotu do natury, magicznej formuły: „lud i ziemia”, idealistycznych spekulacji na temat zasad i istoty szlachetności duszy ludzkiej, co znowu każe zaglądać pod siemięgę i aprobować socjologiczne uwarunkowania tych, co noszą pod siemięgą szlachetną duszę.

Nie będę wywodził rodowodu Fourierowskiego socjalizmu. Ale jasne jest, że również jakiś rodowód mają treści utopijne człowieczeństwa, jakie ustaliły się w Zarządzie Wici, MML i U.L.-owych, jakie stąd zeszły w organizacyjne doły Wici i jak zostały powiązane z wpływami kulturalnymi tradycyjnymi na wsi (z okresu przedkapitalistycznego, wczesno-kapitalistycznego i późno-kapitalistycznego, z pogranicza socjalizmu).

Otóż tu, problem! Nie z powietrza i nie dowolnie utkały się treści tego utopizmu. Mamy wszelkie prawa wiązać je z falą utopij popożytywistycznego okresu inteligencji ziemiańskiej i mieszczańskiej. Mają one charakter regresywny społecznie, rozkładawczy, panikierski i ukrywający maskę kapitalizmu, której nie była inteligencja w stanie zerwać, **na jego bazie narkotyzującej się utopiami**.

Tak oglądając związki duchowe młodych chłopów z odległymi „mitycznymi utopiami ludzkości” dostrzec da się jeszcze jedno: żadnej chłopskości, a natomiast całe kierunki i teorie ogólnonarodowe i europejskie po 1) z minionych okresów, po 2) z baz kapitalistycznie nieprzewidywalnych, co gorsza nie rzadko wyraźnie je ratujące.

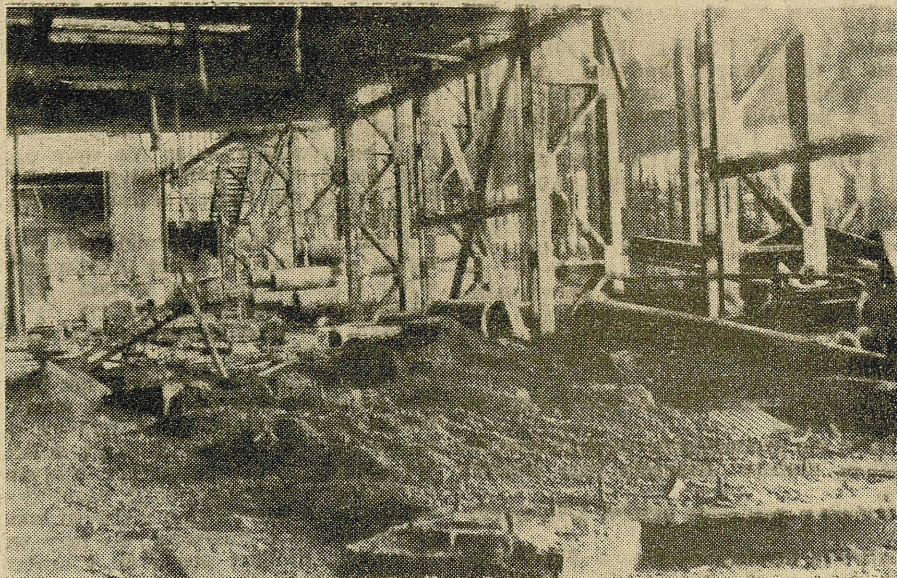
Przecież nie można brać wprost wykładu A. Górskiego z jego książeczki „Ku czemu Polska szła?” Polskę cechuje szlachckość... Bo szlachckość to po prostu godziwość... Ku czemu Polska szła? Dzieje mówią nam: ku szlachckości, ku godziwości”. Prof. Chałasiński pyta, co działo się z chłopcem wiejskim, który to czytał? Gdy czuł szlachetne porwy, a dowiadywał się, że to „budząca się w nim szlachckość”. Tak mu się mogło здаwać. Założmy. Nie to jest ważne. Ważne jest to, że spotykał się z **maską**. Bo przecież pochwała szlachckości Górskiego, nie została wygłoszona w 17-ym wieku. Wtedy byłaby to czysta, i tylko szlachckość. Ale w r. 1938? Maską ta była poto, aby nie wiedział o kapitalizmie, aby z nim nie walczył, runął bowiem wówczas resztki szlachetczyzny panującej na zasadzie plenipotentwa udzielonego mu przez kapitał zagraniczny. To panowanie było rzeczywiste, a różne maski z lamusa historii służyły do jego utrwalenia. Dlatego i model chłopów-perwowie wydaje się być pusty. Po jednej stronie bowiem (w granicach fasady kulturowej) nie było chłopskości po drugiej — szlachckości. Po jednej był kapitalizm (z drugiej raczki), grający sarmacką piosenkę, po drugiej — na nieopuszczonych pozycjach kapitalizm ruch wysypujący inteligencję utopijne piosenki ludomaski.

Chłopi-panowie, szkoła chłopska — szkoła pańska, nauczyciel-„pan” — te modele nie bardzo nam tłumaczą, o ile nawet nie źle, niedawną przeszłość wsi, instytucję szkoły i pozycję społeczną nauczyciela.

Dyskusja jaka się tworzy, wskazuje na to, że nie tylko w ocenie wsi uległa degradacji pańska pozycja nauczyciela, ale, że jej kryzys uświadamia się i samym nauczycielom. „Kto naszym Pstrowskim?” i „Gdzie nasze pogotowie rodzicielskie?”. To sygnalizacja nowego typu autorytetu na wsi, ale nie poprzez „chłopskość” a poprzez ludowość nowego ustroju, obejmującego cały naród i jednocześnie świat pracy chłopsko-robotniczej.

Stanisław Cieślak

GOSPODARCZE PLANOWANIE



Huta „Łabędy”. Zniszczona huta

1. PLANOWANIE GOSPODARCZE A PLANOWANIE PRZESTRZENNE

Życie gospodarcze Polski biegnie w ramach wieloletnich, narodowych planów gospodarczych. Wyższości gospodarki planowej nad chaotyczną gospodarką kapitalistyczną, jest już dziś dla każdego bezstronnego człowieka sprawą oczywistą. Nie ma jednak w naszym społeczeństwie dokładnego zrozumienia istoty gospodarki planowej. Brak jest zwłaszcza odróżnienia planowania gospodarczego, w sensie tego słowa znaczenia od przewidywań gospodarczych mniej lub więcej ścisłych, mniej lub więcej trafnych. „Planować — pisze min. H. Minc w 8 n-rze Nowych Drog — to znaczy stawiać konkretne dyrektywy i wskazywać środki do ich wykonania, to znaczy systematycznie, codziennie kontrolować przebieg realizacji, korygować ewentualne pomyłki i czynnie przewidywać przyszłość, to znaczy walczyć o plan, to znaczy przede wszystkim mobilizować masy, których energią twórczą i entuzjazm są najważniejszymi czynnikami realizacji planu”.

Plan gospodarczy więc o ile ma być planem a więc czymś ścisłym, a nie przewidywaniem musi być planem kilkoletnim. Postępy bowiem techniki, oparte o wielki i szybki rozwój nauki, wyprzedzają w naszej epoce najśmielsze oczekiwania. Nie możemy zupełnie przewidzieć jak np. będzie wyglądać chemia węgla za lat 20 i jakiego typu zakłady będziemy dla przeróbki węgla w tym czasie budować. Podobnie przedstawia się sprawa źródeł energii elektrycznej, gdzie z jednej strony próby turbogeneratorów gazowych, z drugiej wykorzystanie energii atomowej dla wytwarzania energii elektrycznej, wprowadzają do tej tak podstawowej dla gospodarstwa narodowego dziedziny, całkowitą rewolucję. Podobna rewolucja przeżyjemy obecnie również na odcinku rolnictwa i budownictwa. Masowe zastępowanie maszyn w gospodarstwie rolnym, wielkie odkrycia nauki radzieckiej w zakresie uprawy, krzyżowania i aklimatyzacji roślin oraz hodowli, regulowanie opadów wchodzące w fazę techniczną, wielkie postępy w dziedzinie znajomości gleb i ich nawadniania — oto najbardziej charakterystyczne cechy tej rewolucji technicznej jaką przeżywa rolnictwo.

Rozpoczęła się również wielki przewrót techniczny w budownictwie polegający na przejściu od rzemieślniczych metod pracy do bardziej przemysłowych.

Dlatego też ścisłe plany gospodarcze nie mogą być dłuższe niż kilkuletnie, muszą być planami krótkofalowymi.

Zrozumiałą jest jednak rzecz, że nie może nas zadowolić planowanie naszego życia zbiorowego na okres kilku tylko lat. Chcielibyśmy wiedzieć w jakim kierunku zmierzamy, jak ma wyglądać nasz kraj w perspektywie lat kilkudziesięciu. Musimy ustalić nasze zamierzenia na okres życia całego pokolenia. Nie jest to praca bezpłodna o ile wykonywana będzie w sposób racjonalny, gdyż znajomość celów do których zmierzają nasze gospodarstwo posiada duże znaczenie dla mobilizacji woli i energii całego narodu.

Rzecz jasna, że tego typu praca, jeśli ma posiadać jakąś wartość praktyczną musi być najbardziej oddlegać od poetycznej tylko wizji Nowej Polski, a zbliżać się na ile tylko można do czegoś, co można by określić długofalowym kilkuletnim planowaniem. Ta praca będzie zawsze tylko przewidywaniem, ale zbliżenie do długofalowego planu pozwala jej na zastosowanie tych samych ścisłych metod naukowych, jakie stosuje się w krótkofalowym planie gospodarczym. Przyjęcie ścisłych metod naukowych przy przewidywaniu przyszłości naszego gospodarstwa narodowego pociąga za sobą trzy skutki: po pierwsze — plan długofalowy jeśli nie ma być tylko fantazją, nie może być przy dzisiejszym dorobku nauk ekonomiczno-społecznych, konstruowany na okres dłuższy niż lat kilkanaście; po drugie — wnioski płynące z opracowań mogą mieć tylko charakter ogólny, nie stanowią więc konkretnych dyrektyw. Po trzecie — plan długofalowy musi się oprzeć nie tylko na przewidy-

waniach gospodarczych, lecz musi uwzględnić to wszystko co można nazwać świadomym kształtowaniem środowiska naturalnego w którym żyje naród.

Ponieważ każdy naród żyje w określonej przestrzeni naturalnej, którą własną pracą zmienia i kształtuje, taki długofalowy plan urządzenia naszego kraju musi słuszenie nazwę Planu Zagospodarowania Przestrzennego i ta nazwa powinna być w dalszych częściach artykułu.

Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z różnicy jaka zachodzi między ścisłym planowaniem gospodarczym, a planem przestrzennego zagospodarowania, który jest bardziej przewidywaniem niż planem.

W miarę postępu gospodarki planowej, w miarę rozwoju metod planowania, oba te plany będą się niewątpliwie zaciebiać i spódlawiać się, że z czasem poszczególne, okresowe, krótkofalowe plany gospodarcze staną się etapami realizacji długofalowego planu zagospodarowania przestrzennego całego kraju.

Z tych wszystkich względów obok Centralnego Urzędu Planowania, który powstał dla koordynacji planów gospodarczych poszczególnych resortów, istnieje w Polsce, powołany z inicjatywy Min. Kaczorowskiego dekretem z dnia 2 kwietnia 1946 „o planowym zagospodarowaniu przestrzennym kraju” specjalny urząd przy Ministerstwie Odbudowy pod nazwą Główny Urząd Planowania Przestrzennego (z dyrekcjami wojewódzkimi) zajmujący się właśnie zbieraniem materiałów do długofalowego planu krajowego.

2. PLAN ODBUDOWY GOSPODARCZEJ (1947—1949) I PLAN SZESZCIOLETNI (1950—1955).

Potrzebę długofalowego planu krajowego uzasadnia jeszcze jeden fakt. Plan gospodarczy krótkofalowego planu, jako plany realne, muszą być tak układane, aby nawet w najgorszych warunkach mogły być wykonane. Stąd z konieczności muszą być te plany ostrożne. Tymczasem przemiany polityczno-społeczne w Polsce, wielkie podstawowe reformy gospodarcze wyzwoliły w społeczeństwie polskim taką dynamikę, że rozsa-



Huta „Łabędy”. Zniszczona huta

dza ona ostrożne ramy planów gospodarczych. Widąc to wyraźnie w pierwszym naszym Planie Odbudowy Gospodarczej (1946—1949).

Plan ten jak świadczy sama jego nazwa miał być krótkofalowym planem gospodarczym, mającym na celu odbudowanie zniszczeń wojennych a tym samym podniesienie poziomu szerokiej masy narodowej powyżej poziomu przedwojennego.

Dotychczasowy przebieg planowanych procesów gospodarczych świadczy wyraźnie, że na odcinku rolnictwa będziemy mieć pewnie opóźnienia (głównie spowodowane zeszłorocznym nieurodzajem) ale na odcinku przemysłu podstawowego, zamierzone w planie wyniki osiągnięte będą przed końcem roku 1949.

W latach 1945, 1946, 1947 odbudowano znaczną większość zakładów przemysłowych, zniszczonych mniej niż w 50 proc. W roku bieżącym i w roku następnym odbudowa obejmie już zakłady zniszczone więcej niż w 50 proc. Ale trzeba pamiętać, że odbudowa tego typu zakładów, jest prawie równoznaczna z budową zupełnie nowych zakładów, tym bardziej, że w każdym wypadku taka odbudowa łączy się ściśle z modernizacją zakładu. Co to znaczy? To znaczy, że na odcinku przemysłu, plan odbudowy, dzięki dynamice klasy robotniczej, stał się w pewnej, poważnej części planem rozwoju, planem rozbudowy naszego gospodarstwa narodowego. Budowa w r. 1948 dwóch wielkich pieców hutniczych (Florian, Sielcyn 2), fabryki samochodów w Starachowicach (trzejciej co do wielkości w Europie), fabryki żrząblarek włókienniczych w Zielonej Górze, fabryki superfosfatu w Szczecinie, fabryki żyzysk kulkowych w Krasniku, wielkich zakładów chemii syntetycznej w Dworach K/Oświęcimia (która zatrudni ok. 40 tys. robotników), wielkiej fabryki chemicznej „Rokita” w Brzegu na Dolnym Śląsku (która podwoi naszą produkcję chemiczną), budowa trzech nowych wielkich kopalni węgla (Gigant, Wesoła, Ziemowit) i wielu wielu innych zakładów, to już nie remonty, to już nie odbudowa, a rozbudowa przemysłu, podnosząca wielokrotnie w niektórych dziedzinach nasz potencjał przemysłowy.

Wobec takiej dynamiki w rozwoju przemysłu rozsądzającej ramy planu, dla uniknięcia przypadkowości i bezplanowości, zachodzi pilna potrzeba przemyślenia na dłuższą metę sprawy zagospodarowania naszego kraju.

Wreszcie — następny plan gospodarczy ma być już planem rozwoju naszego gospodarstwa w ramach lat sześciu. Postawi on przed narodem wielkie zadania (podwojenie produkcji przemysłowej, zwiększenie o 1/3 ogólnej produkcji rolniczej itp.), wykonanie tych zadań ułatwi znajomość ogólnego kierunku i celów przebudowy naszego gospodarstwa.

3. BAZA WYJŚCIOWA

Ułożenie planu Zagospodarowania Przestrzennego poprzedzić musi wnikliwa, naukowa analiza naszej bazy wyjściowej, a więc terytorium (i jego bogactw naturalnych), ludności i ustroju a zwłaszcza całokształtu stosunków produkcyjnych — jako podstawowych elementów decydujących o możliwościach realizacyjnych. W dziedzinach naszego narodu są to elementy wyjątkowo zmienne. Zaczynając od terytorium państwa, które w ciągu wieków kilkakrotnie zmniejszało lub powiększało swą wielkość, przesuwając się niejednokrotnie o tysiące km. na osi Wschód — Zachód, poprzez gwałtowne skoki ludnościowe (np. podwojenie liczby ludności ziem polskich w latach 1850—1900, lub strata 1/3 liczby mieszkańców w ostatniej wojnie), aż do ustroju wybitnie przed wojną zacofanego, o zerwanej na skutek 150-letniej niewoli własnej tradycji państwowej, w każdym wypadku stykamy się z elementami, których albo przesadna płynność, albo przesadne skostnienie utrudniały harmonijny, ciągły rozwój narodu.

Tradycje również jakiejś długofalowej myśli gospodarczej w naszym narodzie nie są w przeciwieństwie do innych narodów, zbyt trwałe. Dwa razy tylko w naszych dotychczasowych dziejach prowadziliśmy jakąś dlu-

Wynik ostatniej wojny, choć dla Polski pod względem strat ludnościowych i zniszczeń wojennych tak bardzo okrutny, pod wszystkimi innymi względami jest dla nas bardzo pomyślny. Jest wspaniałą szansą, zdarzającą się raz na tysiące lat.

Nowe terytorium Polski, ze wspaniałym wyposażeniem Ziemi Odzyskanych stanowi zwaartą, mocno związaną, najłatwiejszą do obrony całość. Najkrótsze w naszych dziejach granice, 500 km nowoczesnie urządzonego wybrzeża, brak mniejszości narodowych — oto bijące w oczy cechy naszego terytorium.

Również po wojnie, głównie dzięki przeprowadzonym reformom i powrocie na Ziemię Odzyskane drgnęła nieco nasza przedwojenna struktura zawodowa, która spędzała sen z powiek wszystkim ekonomistom.

Struktura zawodowa Polski

	1931 (spis)	1947 (szacunek)
Rolnictwo	60,9	50
Przemysł	17,6	25
Usługi	18,2	20
Inne	3,3	5

Najbardziej jednak godną podkreślenia zmianą, która przed narodem polskim stawia wspaniałe perspektywy rozwoju, jest zmiana ustroju nie tylko pod względem polit.-społecznym, ale co ważniejsze — zmiana stosunków produkcyjnych. Reforma rolna, przejście na własność narodu wielkiego i średniego przemysłu, nacjonalizacja banków, ujęcie przez państwo (ludowe!) handlu zagranicznego, rozbudowa państwowego (ludowego!) i spółdzielczego handlu — oto główne cechy tego przewrotu w stosunkach produkcyjnych.

System demokracji ludowej łączący w sobie w sposób harmonijny twórczą myśl marksistowską z niektórymi, godnymi zachowania, tradycyjnymi cechami społeczeństwa polskiego, zabezpiecza Polskę i pod względem polityki zagranicznej i polityki wewnętrznej te wszystkie warunki jakie są niezbędne dla szybkiego rozwoju dobrobytu i kultury całego narodu, a których do warunków nie było w Polsce przedwojennowej.

Ogólnie biorąc startujemy do odbudowy i przebudowy gospodarstwa narodowego po wojnie z poziomu niższego niż w r. 1939, lecz zmiany terytorium, struktury ludności jak również przemiany ustrojowe i wielkie reformy sprawiły, że perspektywy rozwoju gospodarczego i kulturalnego mamy dziś nieporównanie lepsze niż w roku 1939.

4. PROGRAM PLANU KRAJOWEGO

Troska o człowieka, o jego wszechstronny rozwój leży u podstaw planowania w państwach demokracji ludowej. Ponieważ najbardziej charakterystyczną cechą człowieka jest jego udział w procesach produkcyjnych, program długofalowego planu zagospodarowania przestrzennego Polski najprościej przedstawić można rysując zamierzone zmiany w trzech podstawowych typach aktywności gospodarczej: w rolnictwie, w przemyśle, w usługach.

A. Rolnictwo.

1. Liczba zatrudnionych w rolnictwie powinna spaść do 25 proc. ogólnej liczby ludności. Licząc się ze wzrostem ogólnej liczby ludności w okresie planu do 32 milionów, daje to 8 milionów ludzi na roli, czyli 25 ludzi na 100 ha użytków rolnych. Na wsie mieszkać powinno 40 proc. ludności około 12,8 milionów, w miastach 60 proc. (ok. 19,2 miliona osób). W roku 1946 liczby podobnie przedstawiały się w sposób następujący, w porównaniu z końcowym okresem długofalowego planu:

	Liczba zatrudnionych w roln.	W % ogólnej liczby ludności	Na 100 ha użytków roln.	Mieszkańcy wsi w % ogólnej ludności
1946	12.680.000	50	165	67
Końcowy okres planu	8.000.000	25	25	40

2. W okresie długofalowego planu Krajowego nastąpi specjalizacja i regionalizacja produkcji rolnej. Nastąpi podział na 4 obszary:

- produkcji ogrodniczej (dolina Wisły, okolice większych miast, niektóre powiaty Dolnego Śląska woj. Rzeszowskiego itp.);
- produkcji zbożowo - buraczanej z naciskiem na rośliny przemysłowe z przewagą hodowli bydła (rejony: wrocławski, pyrzycki, poznański, bydgosko-kujawski, Żuławy, warszawski, lubelski, opatowski-sandomierski, miechowski, rzeszowski-jarosławski);
- produkcji hodowlanej typy pastwiskowego (ziemie górskie i podgórskie, część woj. śląskiego i szczecińskiego);
- produkcji żytnio-ziemniaczanej uzupełnionej roślinami przemysłowymi z przewagą hodowli trzody chlewnej (reszta kraju).

3. W zakresie produkcji roślinnej przewidyje się zmianę struktury zasiewów (na korzyść okopowych i pastewnych) i wysoki wzrost plonów z ha w liczbach dla całej Polski odpowiadających przeciętnym dla Ziemi Odzyskanych z przed 1939 r. W porównaniu z rokiem 1946 przedstawiać się one będą w sposób następujący:

PRZESTRZENNE W POLSCE

	Powierzchnia upraw		Plony z ha		Produkcja	
	zboż	ziemiaków	zboż	ziemiaków	zboż	ziemiaków
	w tys. ha	w tys. ha	w d	w d	w tysiącach tonn	w tysiącach tonn
1946	4541	1665	9	112	4053	18.709
Końcowy okres planu	6610	3570	10	170	12400	60.700

4. W zakresie produkcji zwierzęcej trudno dziś już ustalać pewne cyfry. Jako zasadę (z wyjątkiem koni) przyjąć należy, że w końcowych okresach planu ilość inwentarza żywego na 100 ha użytków rolnych przekroczyć winna znacznie poziom przedwojenny. Dla ilustracji podajemy stan przedwojenny inwentarza żywego w Polsce i innych krajach w 1936 roku:

Zwierzęta gospodarskie w r. 1936 na 100 ha użytków rolnych sztuki:

	Konie	Bydło	Trzoda chlewn.	Owce
Polska 1936	15,3	41,2	29,4	13,3
Holandia "	12,7	111,5	59,7	25,8
Dania "	18,3	103,4	92,4	6,1
Niemcy "	12,0	69,3	81,7	16,7
Francja "	7,8	45,0	20,5	28,4
Polska 1946	8,5	16,5	8,3	5,2

B. Przemysł.

1. Liczba zatrudnionych w przemyśle i górnictwie w końcowym okresie planu krajowego powinna wynieść około 30% ogółu ludności tzn. sięgać liczby ok. 9,5 miliona pracowników (w roku 1946 około 3 mil. osób) z tego 4 miliony w przemyśle podstawowym. Powinny powstać liczne nowe, wielkie okręgi przemysłowe: m. in. na osi Radom — Sandomierz (dawny Centralny Okręg Przemysłowy), nadnotecki okręg przemysłowy (z ośrodkiem w Pile), białostocko-lubelski okręg przemysłowy (na osi Łomża — Wizna — Białystok — Siedlce), kujawski okręg przemysłowy na osi Konin — Kutno — Kłodawa. Nastąpi decentralizacja i równomierne rozłożenie przemysłu (co pociągnie za sobą tak pożądane z wielu względów rozładowanie okręgu śląskiego), liczyć się należy, że szybka rozbudowa przemysłu przetwórczego nastawionego na eksport na osi Gdańsk — Bydgoszcz. Jednym z głównych zadań tego etapu rozwoju gospodarczego jest podciągnięcie naszych ziem wschodnich i południowo-wschodnich, tak ubogo dotychczas wyposażonych technicznie do poziomu Ziemi Odzyskanych. Rzecz jasna, że uprzemysłowienie województw: białostockiego, rzeszowskiego i krakowskiego może być dokonane tylko na bazie nowego, rozbudowanego przemysłu ciężkiego. Baza 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej do tego dzieła byłaby całkowicie niewystarczająca.

2. W końcowym okresie długofalowego planu krajowego należy się liczyć z powiększeniem liczby nowoczesnych zakładów przemysłowych co najmniej o 50% w porównaniu do roku 1949 czyli ostatniego roku Planu Odbudowy Gospodarczej. Trudno dziś przewidywać wielkość produkcji, przykładowo wymienić można węgiel, którego wydobycie mogłoby dojść w końcowym okresie do 100 milionów ton rocznie (rok 1938 — 38 milionów ton, rok 1946 — 48 milionów ton rocznie).

3. W związku z przewidywanym rozwojem przemysłu należałoby mocno podkreślić zwiększone możliwości Polski Ludowej w zakresie podstawowych surowców w porównaniu z Polską przedwrześniową. Posiadamy w nadmiarze: węgiel kamienny, sól kamienna, sole potasowe (okolice Kłodawy) gaz ziemny (m.in. nowe, obiecujące wierceńia w Debowej), sodę, związki azotowe, cynk, związki siarki, materiały ogniotrwałe, cement, związki arsenowe, materiały budowlane. Przystajemy importować na skutek uruchomienia własnej produkcji: miedź (kopalnia Lena na Dolnym Śląsku), aluminium, nikiel (Szklary na Dolnym Śląsku), złoto (Złoty Stok na Dolnym Śląsku), antracyt (Nowa Ruda, Wałbrzych) i wiele innych.

Mamy dziś jeszcze poważny niedobór w ropie naftowej, rudach żelaza, rudach ołowiu, surowcu żelaznej, ale intensywnie poszukiwania geologiczne mogą tu przynieść wiele niespodzianek. W warunkach bowiem ustroju kapitalistycznego, jaki przed wojną w Polsce panował, poszukiwania geologiczne były lekceważone, a nawet celowo utrudniane przez kapitał obcy, stąd znajomość naszych możliwości w dziedzinie kopalń i surowców jest jeszcze bardzo niedostateczna i możliwe są dalsze niespodzianki tego typu, co odkrycie wspaniałych złóż soli potasowych w okolicach Kłodawy, których istnienia nawet przed wojną nie przypuszczano. M. in. pierwsze próbną poszukiwania złóż rud żelaza na Dolnym Śląsku w latach 1947—1948 pozwalają rekwirować jak najlepsze nadzieje, podobnie jest z ropą naftową, której występowanie stwierdzono w szerokim pasie od Gór Świętokrzyskich aż do Kołobrzegu nad morzem Bałtyckim. Z podstawowych surowców brak nam jeszcze: bawełny, cyny, grafitu, związków fosforowych, kauczuku (ten ostatni będzie zastąpiony przez kauczuk syntetyczny, produkowany w Dworach Kolo Oświęcimia, skąd pierwsza produkcja wyjdzie już w roku 1949). Doświadczenia innych narodów, zwłaszcza Związku Radzieckiego, który ma za sobą tak wspaniałe wyniki jak przeniesienie uprawy bawełny z krajów tropikalnych na Ukrainę nie pozwalają w sposób beznadziejny podchodzić do braku pewnych surowców.

Gdybyśmy chcieli ocenić nasze możliwości surowcowe i w związku z tym rozbudowę przemysłu na tych surowcach opartą, to możemy powiedzieć, że ta baza surowcowa stanowi dostateczną podstawę do omówionej wyżej rozbudowy przemysłu.

Wielkie możliwości otwierają się również przed przemysłem polskim w związku ze współpracą gospodarczą narodów słowiańskich. Rozpoczęte już w 1947 i 8 roku próby współpracy rokuja jak najlepsze nadzieje. Przykładowo wymienić tu można budowę nowej, wielkiej huty przy pomocy Związku Radzieckiego, która podwoi naszą produkcję w zakresie surowki żelaznej, projektowaną hutę aluminium, opartą na jugosłowiańskich rudach, czeskich maszynach i polskim węglu, budowę kanału Odra — Dunaj, który zbliży Polskę do rynków zbytu i zasobów surowców południowej Europy itp.

C. Usługi.

Do tej grupy zawodowej zaliczamy pracowników w fabrykach, administracji, komunikacji, łączności, służby zdrowia, nauczycieli, pracowników kultury itp. Nie trzeba dowodzić, że w dziedzinie usług decydującej o zdrowiu, oświacie i kulturze szerokiej mas na Polskę nie mniejsze niż gospodarcze założeń do odrobienia. Przewidywania Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego idą tu w 2 kierunkach: zwiększenia ogólnej liczby pracowników zawodów usługowych (z wyjątkiem jasnej administracji), oraz właściwego, równomiernego ich rozmieszczenia. W końcowym okresie planu pracownicy usługowych zawodów stanowić winni około 45% ogólnej ludności kraju, czyli około 12 milionów osób (w roku 1946 około 4 milionów osób). Wtedy dopiero zostanie zrealizowane to co dziś jest jeszcze marzeniem: jak gęsta sieć ośrodków kulturalnych, kinematograficznych, bibliotek, pozwalająca na korzystanie z dóbr kulturalnych ludności wiejskiej w najodleglejszych zakątkach kraju, każda wieś wtedy będzie

mogła mieć nie tylko szkołę, ale również lekarza, dentystę, położną i innych pracowników zdrowia, oświaty i kultury.

W dalszym ciągu przewiduje się podział Polski na następujące, naturalne regiony życia gospodarczego i społecznego z ośrodkami stołecznymi: w Szczecinie, Koszalinie, Gdańsku, Olsztynie, Suwałkach, Białymstoku, Łomży (lub Ostrołęce), Płocku (lub Ciechanowie), Toruniu (lub Włocławku), Bydgoszczy, Pile, Gorzowie (lub Międzyrzeczu), Poznaniu, Kaliszu, Łodzi, Warszawie, Siedlcach, Lublinie, Radomiu, Zamościu, Sandomierzu, Kielcach, Częstochowie, Wrocławiu, Lignicy (lub Bolesławcu), Opolu, Katowicach, Krakowie, Rzeszowie. Tej liczbie 20 wielkich miast o ludności około 150 tys. mieszkańców przeciętnie na miasto (nie jesteśmy bowiem zwolennikami w warunkach polskich miast wielomilionowych), w których skupiać się będzie życie kulturalne i oświatowe regionów, a które z czasem staną się może stolicami województw, towarzyszyć musi intensywna rozbudowa setek mniejszych miast i miasteczek. Przewidywania nasze ilustruje następująca tabela:

Rodzaje osiedli w końcowym okresie planu					Przeciętna	
Typ	Średni zasięg w km. ²	Powierzchnia obsługu w km. ²	Liczba		ludność prze-widyw.	
1. Zespół domów	1	1	—	—	—	—
2. Osiedle poj.	4	44	—	—	—	—
3. Wieś gminna	7	133	—	—	—	—
4. Małe miasto (np. Wałka)	21	400	ok. 1000	ok.	2.000	mieszk.
5. Miasto pow. (np. Garwolin)	12	1200	ok. 300	ok.	15.000	"
6. Większe miasto (np. Łowicz)	36	3600	ok. 100	ok.	50.000	"
7. Stolica reg. (np. Rzeszów)	62	10300	ok. 20	ok.	150.000	"
8. Stolica prow. (np. Poznań)	108	32400	ok. 8	ok.	600.000	"
9. Stolica Kraju	—	—	ok. 1	ok.	1.200.000	"

Jak widać z tych szacunkowych liczb, właśnie ze względu na nasycenie równomierne kraju instytucjami oświatowymi, kulturalnymi, zdrowotnymi itp. wyższego rzędu, plan kładzie bardzo silny nacisk na zahamowanie

przesadnej rozbudowy kłutu tylko wielkich miast, a dąży do zrównoważonej rozbudowy miast z naciskiem na miasta mniejsze.

Dla porównania podajemy liczbę miast w Polsce w r. 1931

Miasta liczące tysięcy mieszkańców							
	Ogółem	Poniżej 5	Od 5—10	10—20	20—50	50—100	100—200
Polska 1931	636	308	177	83	46	11	6



Huta „Labedy”. Odbudowana hala konstrukcji mostów

Należy również wspomnieć o koniecznej rozbudowie usług komunikacyjnych. Znikną pustynie komunikacyjne (ograniczone Ziemi Odzyskanych i Wielkopolski wzdłuż granic 1939 roku, pas izolacyjny między Kretosynem a Opolem itp.), powstaną kanały Zagłębie — Częstochowa — Warta — Gopło, bezpośrednie drogi wodne połączą Berlin przez Wartę, Notec, Wisłę, Bug, Prypęcz z Kłowień i Morzem Czarnym, połączenie Odry z Dunajem wiąże Bałtyk z Morzem Czarnym. W Warszawie powstanie wielki ośrodek transoceanicznych i transkontynentalnych linii lotniczych. Warszawa — Moskwa — Irkutsk — Daleki Wschód. Warszawa — Kijów, Kaukaz — Persja. Warszawa — Bukareszt — Konstantynopol — Bagdad — Daleki Wschód. Helsinki — Ryga — Warszawa — Ateny, Kapsztad.

Uregulowana Wisła powiąże i ożywi pod względem gospodarczym zaniedbane woj. kie-

lekie, rzeszowskie, lubelskie, dostarczając poza tym około 5 miliardów kilowatogodzin energii elektrycznej.

5. Etapy planu zagospodarowania przestrzennego Polski.

Całość wyżej omówionego długofalowego planu przestrzennego zagospodarowania kraju dzieli się na trzy etapy:

a) **Okręg I Odbudowy** — do roku mniej więcej 1950. Który to okres po zamknięciu Trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej będzie stanowił podstawę wyjściową do planu długofalowego.

Zadaniem tego okresu to przede wszystkim podniesienie życia mas pracujących powyżej poziomu przedwojennego. Stąd na plan pierwszy wysuwa się odbudowa i rozbudowa przemysłów konsumcyjnych, zaludnienie Ziemi Odzyskanych, osiągnięcie w rolnictwie

na Ziemiach Odzyskanych co najmniej tego stopnia wydajności i plonów z ha co na ziemiach starych. Reforma rolna i uwłaszczenie na Ziemiach Odzyskanych przyczyniły się w poważnym stopniu do likwidacji przedludnienia rolnego. Okres ten wykorzystany został również na odbudowę i pełne wykorzystanie szerokiego dostępu do morza. Duży nacisk położony został na zwiększenie udziału Polski w gospodarstwie światowym. Rozwój wymiany ze Związkiem Radzieckim, Czechosłowacją, Szwecją, Anglią i wielu innymi krajami rozwija się pomyślnie. Wykonanie Odbudowy Gospodarczej (można mieć nadzieję, że w 2 i 1/2 lata) stworzy podstawę do drugiego etapu właściwego uprzemysłowienia.

b) **Okręg II Uprzemysłowienia** Polski będzie się składał co najmniej z dwóch planów gospodarczych, bo liczyć musi lat około 15, to jest mniej więcej lata 1950—1965. W tym okresie nastąpi przekształcenie Polski na kraj przemysłowo-rolniczy. Ilość zakładów przemysłowych zwiększy się co najmniej o 50%. O ile w okresie Trzyletniego Planu Odbudowy stosunek nakładów w przemyśle ciężkim i lekkim miał się jak 40:60 z przewagą przemysłu lekkiego (konsumcyjnego), to w okresie następnym stosunek ten zostanie odwrócony. Okres rozbudowy przemysłu połączony być musi z jego modernizacją. W oparciu o rosnącą produkcję nawozów sztucznych, traktorów, maszyn rolniczych, środków transportu, przy pomocy chłopskiej spółdzielczości powinna nastąpić szybka intensyfikacja rolnictwa.

Szybki wzrost produkcji materiałów budowlanych, maszyn, środków komunikacji umożliwi zakończenie odbudowy Warszawy oraz odbudowę innych wielkich miast oraz mniejszych miasteczek jako ośrodków usług gospodarczych i społecznych. Kilkakrotnie zwiększenie potencjału przemysłowego (zwłaszcza w przemyśle ciężkim), oraz zlikwidowanie zacofania technicznego w rolnictwie stworzy podstawę do trzeciego etapu planu krajowego: etapu urbanizacji, czyli zlikwidowania różnic w wyposażeniu technicznym, stopnia życia i kultury ośrodków miejskich i wiejskich.

c) **Okręg III Urbanizacji** — po roku 1965 — pozwoli na zakończenie realizacji planowanej struktury zawodowej (25% rolnictwo), 30% przemysł, 45% usługi). Będzie to okres budowy i rozkwitu ośrodków miejskich różnych wielkości, w tym czasie większość dochodu społecznego będzie już mogła być obrócona na potrzeby mieszkaniowe, zdrowotne, kulturalne i oświatowe. W oparciu o rozbudowany w poprzednim okresie przemysł ciężki można się będzie pokusić o wielki skok w komunikacji wszelkiego typu, o regulację Wisły, o dalszą rozbudowę przemysłów konsumcyjnych i rejonizację i dalszą intensyfikację rolnictwa w oparciu o energię elektryczną i nowoczesną organizację i najnowsze środki produkcji. Właściwe rozmieszczenie ludności — oto główne zadanie tego okresu.

Tak wygląda w ogólnych zarysach dotychczasowy, ogłoszony drukiem dorobek Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego w zakresie studiów do planu krajowego. Rzecz jasna, że studium tych brak jeszcze tej ścisłości, jaką posiada Trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej, są to raczej pierwsze rzuty, które wymagają będą długich lat dodatkowych badań i prac. Z natury bowiem planu długofalowego wynika jego ramowość i ogólność, którą uściślają dopiero kilkuletnie, operatywne plany gospodarcze. Oceniając wielką pracę G. U. P. włożoną w opracowanie pierwszego rzutu planu przestrzennego zagospodarowania Polski wyrażać należy radość, że tak kapitalne dla naszego kraju badania nie leżą u nas odłogiem.

Stanisław Cieślak.

Źródła:

1. Ustawa o Planie Odbudowy Gospodarczej, Warszawa 1947, C. U. P. str. 43.
2. Plan Odbudowy Gospodarczej. Materiały do przedłożenia rządowego. Liczby podstawowe. Warszawa 1947, C. U. P. str. 147.
3. Planowanie przestrzenne. Plan Krajowy I. Warszawa, 1947. Ministerstwo Odbudowy. Główny Urząd Planowania Przestrzennego, str. 125.
4. Studium Planu Krajowego. I. Atlas. Warszawa, 1947. Główny Urząd Planowania Przestrzennego. Map. 25.

Zdzisław Skwarczyński

Rezerwat zmierzchającej klasy i jej satelici

PUBLICYSCY i pisarze, których w drugiej połowie XIX w. i na początku XX interesował problem szlacheckiego, w naszej kulturze stawiali go najczęściej pod kątem żywotności przedstawicieli tej klasy w jej masie. Mniemano, że tradycja kulturowa tej klasy daje jej członkom więcej szans na objęcie przodującego stanowiska w społeczeństwie, nawet gdy wypadło zerwać z dawną strukturą klasową. Szlachcie przypisywano nadal rolę kształtującą nowoczesne oblicze narodu. Nawet Żeromski w wielkiej mierze hołdował tym sugestiom. Przeciwnicy tych poglądów, twierdząc, że rozkładający się „naród szlachecki” raczej zarażał naszą kulturę trudnymi do wykorzenienia wrzodami, pozostali przecie mimo wszystko przy zaszczytnym dla zmierzchłej klasy mniemaniu, że proces ten odbywa się głównie w łonie inteligencji. Przyjmowano jednorozowo przenikania szlachty w naród; twierdzono, że „życiowy szlachecki” wypierany wskutek warunków politycznych i gospodarczych ze swych dawnych uprzywilejowanych pozycji, przejął funkcje właściwe inteligencji, że — więcej — do wypełnienia tych funkcji był w swej masie przygotowany. W obrębie przeto inteligencji, jako nowej warstwy lokalizowano zarazem szlacheckość. Obraz był wyrazisty, ale nie odpowiadał chyba rzeczywistości.

Proces rozkładu warstwy szlacheckiej, jeśli brać pod uwagę tylko determinanty gospodarcze trwał już od w. XVII. Różnice w rolach politycznych i funkcjach społecznych były w poszczególnych okresach czasu tak znaczne w obrębie tej warstwy, jak — przykładowo rzecz biorąc — wśród współczesnych chłopów. Zdawał sobie doskonale z tego sprawę na pewnym etapie historycznym Fr. Sal. Jezierski pisząc „Jarosza Kutasińskiego, herbu Deborów, Uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce”. Jeśli tedy w ogóle istniała zaraza — to zaczęła się ona grubo wcześniej niż to zwykło się określać. Na pewno przeniknęła ona wszystkie piętra struktury społecznej, nie ograniczając się do inteligencji, bo jej narodziny przypadają dopiero na schyłek XVIII w. To właśnie ma być donioślejsze znaczenie dla stylu naszego życia, dla sprawy oblicza kulturowego naszych mas.

Gdyby przecie nawet proces rozkładu warstwy szlacheckiej zamknąć chronologicznie w obrębie drugiej połowy XIX wieku, kiedy staje się on dostrzegalny gołym okiem, to i tak można stwierdzić, że degradacja dotyka tę klasę o wiele bolesniej, niżby to mogło wynikać z ryczałtem traktowanych warunków politycznych i gospodarczych. Szczęśliwi są nieliczni, którzy mogą przejść na pozycję inteligentów jako urzędnicy itp. Wymagania, jakie stawia się inteligencji w owym czasie, jakiegokolwiek byłaby ona kalibru, są takie, że przeciętny, dopiero co oderwany od ziemi szlachcinek nie może im sprostać. Jest to sytuacja analogiczna do sytuacji „Marty” Orzeszkowej po utracie męża. Okazuje się, że właściwie ona niczego nie umie, co byłoby cenione na rynku pracy. Kiedy Reymont niektórych bohaterów swych powieści lokował jako dozorców fabrycznych lub „stojaków” na kolei — trafnie ukazywał dno nędzy wyzyskanych z siódła ziemian i ich satelitów. B. Hertz w swych wspomnieniach („Na taśmę 70-lecia”. Nowiny Literackie) prezentuje nam ich jako konduktorów tramwajów końowych w Warszawie. I jedni i drudzy im wcześniej i rzetelniej wyciągnęli wnioski ze swej nowej, realnej, określonej warunkami materialnymi pozycji społecznej, a zapomnieli o przywileju szlacheckim — tym szybciej stali się pozytywnym elementem społecznym.

Odbывало się to oczywiście tam wszędzie, gdzie życie gospodarcze określało tę pozycję z całą jaskrawością, gdzie na złudzenie nie było miejsca. Synowie dozorców fabrycznych czy kolejowych w Łodzi, przemysłowo-kapitalistycznym bujnie rozwijającym się nowotworze na organizmie rolniczej Kongresówki, byli maszynistami kolejowymi, mieszczchańskimi cnotami, dorabiali się przedsiębiorstw przewozowych, zakładali sklepy i sklepiki, kupowali domy czynszowe, uczestnicząc mniej lub więcej intensywnie w cyklu rozwojowym kapitalistycznej gospodarki. Do tytułu inteligencji nie rościli sobie pretensji. To przyszło później. W innym układzie stosunków oglądamy już owych Pogonowskich, Pęczkowskich, Kozaneckich dzisiaj.

Zato syn kubielskiego organisty Reymont, który „po kądzieli” był wnukiem wysadzonego z siódła małopolskiego szlachcica paszytniczego żyjącego na łasce brata kanonika, finaglował sobie snobistycznie szlacheckich przodków „po mieczu” i dokonywał takiej operacji na swym właściwym nazwisku (Rejment), że by to mogło fikcję utwierdzić, miał legitymować się własną, osiągniętą wielkością. Znamyja wiejska krawcowa, córka dworskiego gajowego, uważa, że karierę zrobiła bratanicą, która wyszła za mąż za członka o herbowym nazwisku, choć kwalifikacjami zawodowymi maż nie dorasta jej do pięt. Pewnie, że jest takich ludzi coraz mniej, ale jeszcze zbyt wiele, zbyt często ten niepożyteczny snobizm przerzuca się wtórnie na drobniomieszczanstwo, aby sprawa dała się zamknąć w obrębie jednej klasy i konwencjonalnie pojętego czasu. Nie można jej traktować niezależnie od etapu rozwojowego życia gospodarczego i środowiska.

Gdy w przemysłowej Łodzi podupadła szlachta obejmowała posady dozorców fabry-

cznych i kolejowych, by dzieci ich mogły wyrosnąć na drobnych kapitalistów (ale wedle stawu przecie grobla) w odległym i oddzielnym kordonem Krakowie odmiennie kształtowały się losy ziemiańskie szlachty, której grunt wymknął się spod nóg, oraz ich satelitów. To dopiero uzupełnia skalę losów deklansującej się szlachty.

Problem to był snąć bardzo aktualny, skoro go podjął w „Pańskich dziadach” Michał Bałucki, pisarz ani najbardziej radykalny, ani głęboki. Później w dobie mody na metafizyczne dreszcze, „dogłębne” problemy miłości i śmierci zaszczuto go zarzutami odwarzania bylejakich losów, charakterów przyziemnych o ciasnych horyzontach. Ukuto nawet termin „bałuccyzna” na potępienie podobnych rzeczy. Raczej wybaczone Zapołskiej podejrzany naturalizm, niż fotograficzny realizm Bałuckiemu. Była to sztuka zbyt sprawdalna w doświadczeniu i dotkliwie dająca się we znaki swoją przykrą, gorzką prawdą. Można by pasować Bałuckiego na poprzednika autora „Lalki” w umiejętności robienia przekrojów społecznych. Zestawienie powyższe usprawiedliwiałoby ponadto nie uzdolnienie co prawda pisarskie, ale podobieństwo kariery artystycznej. Bałucki także rozpoczął od „kronik” w „Kraju” oraz powieści w odcinkach. Wreszcie zwrócił także uwagę, że tytuły jego utworów jakby z mowy potocznej zaczerpnięte, służą odąd na stałe na określenie pewnych zjawisk.

Od dawna zmora Krakowa, miasta żyjącego z odcinania kuponów od ziemiańsko-szlacheckiej i katolickiej przeszłości narodu, miasta bez przemysłu — była arystokracja. Pozycję ekonomiczną — społeczną zapewnił jej w czasach Bałuckiego zapożyczony charakter życia gospodarczego w Galicji. Baza ekonomiczna szlachty kurczy się co prawda coraz bardziej, ale hrabiowie jeszcze trwają. Nie brak im swoistej świadomości misji, jaką pełnią w Krakowie. Wykłada ją w powieści jeden z jej bohaterów satelita arystokracji Linowski. Wypowiedź tę można do pewnego stopnia wziąć na serio.

„...jeżeli by arystokracja usunęła się stąd, byłoby to klęską dla miasta, po prostu ruiną” — mówi pan Linowski na wiadomość udzieleną mu przez protektorkę hr. Gilską o zamiarze przeniesienia się do Dreżna wielu rodzin arystokratycznych, którym obmierzły ataki demokratyczne.

„Bo zważ, hrabino, — dodaje — kto tu podtrzymuje ducha katolickiego, lojalności, moralności, jeżeli nie sfery wyższe. Jeżeli te się usuną, z małego Rzymu, demokracja zrobi sobie stolicę. Dla miłości wiary i tradycji nie robicie nam tej krzywdy. Pan Bóg wynagrodzi wam to męczeństwo w jego sprawie”.

Kim jest ów pan mający tak wysokie mniemanie o misji arystokracji galicyjskiej w mieście, obrońca wiary i tradycji przed kusami demokracji, bezbożnicwa i niemoralności?

Poznajemy go i jego rodzinę na pierwszych kartach powieści podczas przeprowadzki do zielonej kamieniczki na przedmieściu, zamieszkałej przez rodzinę rzemieślniczą. Tragarze z pogardą odnoszą się do przewożonych mebli tego jęzgości. „Starych, zużytych, jakby z antykwarskich składów pozbieranych gratów”, ale właściciel ich „zdawał się wielką przywiązywać do nich wagę i pośzanowanie”.

„Ubiór jego miał widoczną pretensję do elegancji, która jednak po bliższym przypatrzeniu się robiła to samo wrażenie, co i sprząty starzyzny. Ciemny paletocik krojem zdradzał lepsze pochodzenie, ale był tak wytarty od częstego używania i czyszczenia, że nitki na nim porachować by można było; cylinder, po kilkakroć już zapewne odprasowywany, świecił się popielatą barwą; parasol miał liczne cery na sobie, a ciemne rekawiczki w końcach palców czerniły się od potu i starości”.

Wprawdzie strój jego i ruchomości wiele pozostawiały do życzenia, ale za to nienaganne maniery, język francuski jakim porożumiewał się z rodziną, duma w stosunku do plebsu zaakcentowana posiadaniem służącej — świadczyły o czymś innym.

Mimo, że rodzina p. Linowskiego przyjechała jednokrotnie, mimo że dorozkarz miał wszelkie powody do niezadowolenia ze zbyt skromnej zapłaty — państwo Linowscy na własnych śmieciach potrafili rozwinąć tyle towarzyskiego uroku pańskości, że zaniepokojonemu o komorne prostakowi, gospodarzowi wydało się nietaktem domaganie się zapłaty.

Kim są doprawdy, czym trudnią się i z czego żyją państwo Linowscy? Oboje są w sile wieku. On liczy — jak opiewa książka meldunkowa — lat czterdzieści osiem, ona: trzydzieści sześć. Z zawidej, starannie wygolonej twarzy wygląda p. Linowski na dyplomata, albo przynajmniej na lokaja z jakiego magnackiego domu. W książce meldunkowej figuruje jako privatier, a więc żyjący z kapitału. Cóż to za kapitał? Trudno byłoby nam uwierzyć, że i on również odcina kupony od kapitału szlacheckiego. Onsi był guwernerem u hr. Gilskich. Niczego wprawdzie nie dowiadujemy się bezpośrednio o jego przynależności do szlachty, ale małżeństwo z ubogą krewną hrabiów daje nam raczej niejakie tego gwarancje. Nie zapewniamy do przecie utrzymania. Wprawdzie hrabina wypychając niewygodną krewniaczkę za mąż za Linowskiego, jakoś ją wyposażała (stad też zbierane antyki wśród mebli), postarała się

nawet o sposób zarobkowania dla jej męża wyrobiwszy mu „zarząd dwoma domami w Krakowie, których właściciele mieszkali na Podolu”. „po kilku latach jednak właściciele powrócili i objęli sami zarząd swoich domów”, rozstając się „nawet niebardzo do brze z Linowskim, bo przy obrachunkach okazały się jakieś niedokładności”.

„Próbowała jeszcze w kilku młotcach znaleźć dla Linowskiego jakie korzystne zatrudnienie, ale jej się to nie udawało, albowiem też, jeżeli udało, to nie na długo. On Linowski źle i niedbale pełnił swe obowiązki, opuszczał się w pracy...”

A przecie z czego żył i utrzymywał wcale liczną rodzinę, składającą się z żony i trojga dzieci? Sekret tkwi w tym, że żył w Krakowie.

Kiedy hr. Gilska, nawet wśród galicyjskich hrabiów świeżego stempla arystokratka, przybyła do Krakowa

...była tu nieznana prawie w arystokratycznym kręgu; prędko jednak dała się poznać, afiszując się ze swoją gorliwością religijną i kwestą dla biednych; tą drogą otworzyła sobie wstęp do kilku dam wyższego świata, poświęcających się kultowi miłosierdzia chrześcijańskiego. Hrabina Gilska stała się prędko arcykapłanką tego kultu, prześcigając inne w gorliwości i pomysłach. Niedosć, że należała do wszystkich stowarzyszeń religijnych i dobroczynnych, ale sama jeszcze na własną rękę założyła dwa nowe, a mianowicie: Stowarzyszenie misjonarek i Towarzystwo opieki nad upadłymi kobietami...”

Do misji religijnej miała hrabina Gilska swoich agentów, ludzi świeckich, często nawet podejrzanej kondyty, którzy młode żydówki werbowali na łono katolickiego Kościoła, rozumie się za dobrym wynagrodzeniem. Powiadano nawet, nie wiem ile w tym było prawdy, — pisze Bałucki — że hrabina gorliwość swoją o krzewienie wiary katolickiej posuwała tak daleko, iż swego dalekiego kuzyna, donżuana dość oświeconego gatunku, który z jakąś piękną żydówką, dość wątpliwej kondyty, prowizorycznie zawarł związki wspaniała stała pensyjka, pod warunkiem, aby starał się żydówkę ową pozyskać dla katolickiego Kościoła. Takie zasługi zrobiły hrabinie rozgłos w mieście bigotów, gdzie zewnętrzna pobożność jest najlepszą rekomendacją na salony, a miennością wyrabia sławę geniuszów. To też przed hrabiną otwarły się drzwi wielu dystygnowanych domów. Wiedzieli tam wprawdzie o wątpliwym pochodzeniu jej hrabiowskiego tytułu, wiedzieli nawet więcej, bo o jakichś skandalikach; ale świat wyższy umie być wyrozumiałym na podobne słabości, a hrabina miała wiele przymiotów, które ją robiły cennym nabytkiem w tych sferach: miała majątek, towarzyskie zalety w wysokim stopniu, ducha inicjatywy i, choć nie była rzeczywiście hrabiną, umiała odgrywać jej rolę lepiej niż niejedna rzeczywista.

Po dwóch czy trzech latach, hrabina stała się duszą wszystkich dobroczynnych zebrań, przezydowała na nich i zyskała sobie w mieście opinię damy wielkiego miłosierdzia”.

Nie warto nużyć czytelnika opisem jednego z takich zebrań, w którym bierze udział kilka osób z arystokracji, a więc jedna księżna w starszym wieku, trzy hrabiny, jakiś zdegenerowany potomek wojewodów i biskupów — członek Tow. św. Wincentego a Paulo, oraz: ksiądz, reprezentant Tow. Dobroczynności, jakaś — dla okraszy — dobroczynna mieszczanka, tudzież urzędowy chwalec arystokratycznej filantropii i redaktor zachowawczego pisma. Wystarczy może, jeśli powiemy, że modlitwa była tu ceremonią towarzyską nie zaś aktem religijnym, bo odmówiono ją pod przewodnictwem nie księdza, ale owego arystokratycznego wymocza i że rozdzielą uzyskanych z wenty funduszy był wyrazem swoistej solidarności stanowej. Co prawda ksiądz poparty przez reprezentanta Tow. Dobroczynności podniósł opór przeciw rozdzielowi a discretion groźba publicznego, że znacznej przecie kwoty 1752 florenów czystego zysku 100 florenów poszło na miesięczną pensję dla potomka znacznego rodu, zrównanego nieszczęśliwymi okolicznościami, 100 florenów na pensję dla sieroty po hr. X. około 500 florenów wzięła hr. Gilska na cele misyjne i dla kilku rodzin, wstydzących się zebrać, bo przecie należy wspierać „naszych biednych”, których moralne przekonania są nam znane”. Nie wątpimy, że znalazły się w tym pieniądze dla wspomnianego wyżej donżuana wytrwale nawracającego piękną żydówkę na wiarę katolicką, ale nawet w tych warunkach niespodziankę stanowi mecenat pań miłosiernych wobec malarza. Szacowne grono w mniejszym, arystokratycznym kolekcji postanawia zakupić do sal obiad obraz, przedstawiający św. Magdalénę, patronkę upadłych kobiet. Niespodziankę wyjaśniają dalsze karty powieści, z których wynika, że była to w guście towarzysztwa utrzymana zaaranżowana przez hr. Aurelię Gilską pomoc dla jej utrzymania. Prawdziwie potrzebujący biedacy dostaną w najcięższych terminach kartki na **zupę rumfordzką**, bo kartki na węgiel i reszta pieniędzy będzie tylko dla zdeklarowanych, wprawnych zebrań zawodowych, umiających sprytnie podsycać w dobroczynnych chrześcijańskich uczuciach zadowolenia z udzielania jałmużny.



W znamienisty sposób kolarzy Bałucki w tej powieści fałszywą pobożnością i filantropią ze zgnilizną moralną. Uzupełniają się one nawet jak na niewątpliwie tendencyjną powieść zbyt harmonijnie, by ~~czymś~~ nie był prawdziwy.

Czytelnikowi nie trudno pewnie już domyślić się, że to właśnie do rodziny wstydzących się zebrać należało państwo Linowscy, choć jak twierdzi jedna z postaci powieściowych, należało by raczej powiedzieć: wstydzących się pracować. P. Linowski woli hańbić ornaty, by je za łaskawą pomocą hr. Gilskiej puszczać na loterię wśród religijnych pań, niż w jakikolwiek sposób zarobkować. Linowski uważa za bardziej godne swej pozycji towarzyskiej hodowanie rasowych piesków czy wyrzynanie z dyktu modnych wtedy szopek, żardinerek itp., by tymi podarunkami jednać sobie wsparcie. Pod tym względem godnie pendant znalazł w postaci stojącego o wiele niżej w drabinie społecznej twórcy okolicznościowych wierszy panegirycznych i utworów pobożnych, które są dlań sposobem łatwego żerowania na bigoterii, głupocie, próżności i braku smaku literackiego.

Nie mogliby przecie Linowscy utrzymać się zbyt długo na pozycji rodziny wstydzących się zebrać, nie mogliby na tym oprzeć swej egzystencji. Bez wahania, bez skrupułów, jakie tych religijnych ludzi powinny napastować, podejmują się zadań, które mają na dłuższą zobowiązać ich dobroczyńców, zadaniem moralnie jednoznacznych. Przy zachowaniu pozorów naturalnie, rajfurza i dom swój czynią domem schadzek hrabiny Aurelii ze wspomnianym już malarzem, którego hrabina przepędził z domu. Nawet dzieci są wciągnięte w obręb chytrych i płaskich planów utrzymania się za wszelką cenę bez pracy. Dziewczęta przygotowują nie do roli żon czy matek choćby, nie uczą ich pracy, ale prezentacji. Ich uroda ma być przynęta w formalnym polowaniu na zamożnego zięcia, który by rodzinie zapewnił byt pasywny. Gdy istnieje obawa, że ośpa zeszpeci Antosie, do brzy papa stwierdza, że będzie to większym nieszczęściem, niż gdyby umarła. Nie martwi ich, nie napełnia niepokojem fakt, że urodziła Balcia staje się w salonach z racji swej istotnej pozycji społecznej i tu mierzonej przeciw pieniądzem, czymś pośrednim między kokotą i damą, że grzy jej moralna katastrofa. Gdy zawiadła ambitnie plany żłapania na małżeństwo z Balcia Zyzia Gilskiego, bez wahania pchają ją w ramiona chorego ale bogatego Wronskiego, mniej dbając już wtedy o starożytność jego szlachectwa. Nawet w obliczu śmierci niedoświeżonego zięcia nie spuszczają z oka celu, jakim jest wyciągnięcie z ożenku korzyści materialnych.

Napawający obrzydzeniem katalog ohydnych czynów kwalifikujących tę parę nie kończy się na tym. Uzupełnić go rzeba perypetiami przedślubnymi i targami ze starym Knopem o Antosie dla Jasia, targami mającymi zapewnić Linowskiemu maksimum korzyści przy minimum kompromisów, bo gdzież to w sferze błyszczących niedźwizy można pozwolić na megalomanię z rzemieślnikiem nawet zamożnym, uczciwym, kochającym i kochanym, ale utrzymującym się z pracy. Już lepiej korzyści czerpać z procederu, który wydawało się jest wynalazkiem mieszczaństwa, a więc z gigolactwa. Gigolakiem staje się, a wreszcie sutenorem i przestępcą wychowany przez godnych rodziców syn Adas.

Donioło w tej chwili, gdy wypadło mi na przestrzeni tych kilku wierszy dopieścić obrazu moralnej nicości, nawet kulturowej nicości Linowskich — niewątpliwego produktu rozkładu warstwy szlacheckiej raka zarażającego społeczeństwo na różnych jego szczeblach w latach 70—80 minionego stulecia w swoim środowisku krakowskim, dostrzegam poprzez odrazę, jaką mnie ta przemysłowa czynność napełniła, że Bałucki potrafił raczej nadać swemu przedstawieniu ton bardziej snokoiny, bożnamienny, a przez odpowiednio dobraną motywację uczuć obraz tego rozkładu mniej jaskrawy. Widać przecie powieść o Krakowie wolał w Warszawie,

Stanisław Pięta

NIEBEZPIECZEŃSTWO*)

rys K. Hierowska

GDYM wrócił z Krakowa do Łodzi, zastałem w mieszkaniu depeszę, datowaną sprzed trzech dni, mówiła ona o ciężkiej chorobie Krzysia — i by przyjeżdżać natychmiast. W jednej chwili szerniałem od złych przeczuć, świetny nastrój po przygodach z Natalią od razu rozpadł się we mnie. Nie miałem pieniędzy, musiałem znów pożyczać, z trudem złapałem u sąsiadów cokolwiek.

Wsiadłem do pociągu jeszcze przed zmierzchem. Miejsca siedzącego nie było, stałem cały czas do Skarżyska. Dziś nie zajmowały mnie ni rozmowy w przedziale, ni dyskusje polityczne, awantury i zaczepki, myślałem jak najdalej od rzeczywistości. Przez głowę przelatywały mi różne przypuszczenia, o nagłej chorobie, o wypadku. „A może go zabi-



to?” — pomyślałem naraz i czułem, że słabną, że z niepokojem tracę oddech. — To najprawdopodobniejsze, przecież był taki zdrowy, gdy wyjeżdżałem. Co mogło się innego stać!

Przypomniało mi się, ile miłości włożyłem w kształtowanie życia Krzysia i teraz już zamierałem z bólem. „Niech ja zgine, niech co ze mną się stanie — wołałem — byle on żył, był zdrowy, realizował siebie tak, jak tego pragnę...”

Teraz już jest niemal dwa lata od tamtego czasu, więc, mogę napisać — nigdy w sobie nie czułem takiego, bezinteresownego, nie zamąconego najmniejszą egoistyczną myślą uczucia, jak wtedy. Spokojnie ofiarowałem bez cienia wahania swoje istnienie za życie Krzysia, po raz pierwszy nie bałem się, że mogę umrzeć.

Radbyłem być lecieć jak na skrzydłach do Białej Wsi, by skrócić straszliwą mekę oczekiwania i niepewności, tymczasem pociąg włócił się, pelzył przez pola, stał na stacjach. Na domiar złego trzeba było się jeszcze przesiadać w Skarżysku i czekać na połączenie trzy godziny.

Nie wiedząc co z sobą zrobić, biłkalem się po peronie, zasypiałem na stojąco i leżałem przez sen. Zmarłem wreszcie i udałem się do poczekalni. Wszystkie sale na dworcu były zapchane niestychaniem, leżeli na posadkach szabrownicy i ludzie udający się na zachód na osiedlenie, spierzały się przy ścianach paczki, kufty, nie brakło tam kszosów i olbrzymich tobołów. Młodziutki dziewczęta spały na kolanach przygodnych znajomych, gdzie nie gdzie żołnierze i cywile raczyli się bimbrem.

Raz po raz wybuchała awantura, to przy bufecie, to w miejscu, gdzie milicja konfiskowała komuś jakiś podejrany towar. Moją uwagę zwrócił właśnie wysoki mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu spokojnie tłumaczył milicjantowi, że zabrakł mu wódkę bezprawnie, bo on ją otrzymał jako premię — administruje majątkiem rządowym pod Wsłobrzegiem.

Dałem nura zaraz przez tłum do gościa, gdy tylko usłyszałem nazwę mojego miasta. Rzeczywiście gość był mi znany, byłem z nim kiedyś na imieninach u Marcinkowskiego w Leśnie.

Widać nie najlepiej myślał o takich, jak ja, według jego mniemania, sprzedawczykach, bo nasrożył się jak kot i niechętnie przyznał się do znajomości ze mną.

— Nie pamięta pan, siedziałem przy żonie pańskiej na imieninach u Marcinkowskiego w r. 1944. Jestem pisarzem, literatem, nazywam się Kunefal Jan, pochodzę z Białej Wsi. Przed wojną byłem nagrodzony.

— Aha, to pan — wybąkał i szczeroteczka podczesał sobie włosy. — Owszem teraz sobie przypomniałem.

Wzrok miał hardy, zdawał się mi klucz wzgardliwymi żrenicami.

— Czy pan nie wie, co się stało z moim bratem? Był on działaczem, pracował przy Reformie Rolnej.

— Udało mu się wymigać od rozwalenia.

— Co, był napad na niego?

— Jakby to, obywatelu, powiedzieć, nieudany napad, ale ranka i tak jest chyba porządna. Do widzenia, niestety, nie mogę siu-

chać pana powieści, bo pociąg mój na Kielce odchodzi w tej chwili.

Zgrabnym krokiem, zdaleka już patrząc na mnie wyzywająco, odszedł, a ja zostałem przy ścianie ślaniając się od wszechogarniającej mi radości. „A więc żyje. Będzie żył!” Zaciśkałem ręce, szepetałem coś w zapamiętaniu, wypadłem jak oszalały na peron.

Świadomość, że nie ma katastrofy, uspokoiła mnie, w dalszej drodze czułem się dużo lepiej. Pociąg miał właśnie tak znany mi kraj nad Kamienną. Słońce już wzeszło, za łakami, za Kamienną, towarzyszącą torowi kolejowemu najrozmaitszymi zakrętami i równoległą, połyskującą wśród olch błękitno-srebrną strugą, wyrastały wioski w wawozach zielonych, szerokie pasy żył onące się na wzgórzach, lasy i pojedyncze drzewa rozchylane na horyzoncie. Ile razy jechałem wtedy w czas swej młodości, chorobliwie aż wypełniony od wzruszenia i tęsknoty. Dzieci roześmiane skakały wtedy do rzeki nie wstydząc się swej nagości, dalej cudaczne pary, wycieczkujące chyba, rozzuwały się i moczyły nogi w wodzie, opalała się soczysta z pobliskich miasteczek na piaskach. Nawet tu nad Kamienną widać było parasole kolorowe. Zakrapiano podwieczorek, ktoś się wygłupiał, grała harmonia.

Przestałem jednak wspominać, gdy pociąg wjechał w pas frontowy za Ostrowcem. Przejeżdżałem wtedy w kwietniu i w maju, a wciąż widok pustego, zamierłego kraju przysparzał mi obojętny skurcz serca. Na przetrzeni między Dwikożami, a Jasicami nie było śladu z dawnych, pięknych, bogatych wiosek. Gdzie nie gdzie sterczał zaledwie dom, wznosiły się pocięte napół spalone drzewa, próbujące z powrotem żyć i puszczać zielone pędy. Nawet kościoły tu były zniszczone, nawet dwory. Ani ptak, ani pszczoła, ani motyl nie nawiedzały tu ziemi. Czoigi wywrócone, spalone, drut kołczasty, głębokie rowy strzeleckie, mozaika grobów po stronie frontu Armii Czerwonej, przystrojona, świecąca czerwonymi gwiazdami... Ale oto i tu wracało życie. Na cześci pół szerzyła się jeszcze szcztotka zeschłych, szesiorocznych zbóż, rdzawiły się buraczyska, ale miejscami i tu zieleniły się platy wawozu, ktoś orał, ktoś budował dom, szli żołnierze pochyleni grupkami i rozmawiali wiołami.

Gdy pociąg wjechał na prowizoryczny most na Wiśle i ja ujrzałem w dalekiej, stojącej ciszą nieba i skupiskami zieleni, wielkiej nizinie moja wies rodzinna, straciłem dotychczasowe opanowanie, które towarzyszyło mi od kilku godzin. Nie był to niepokój pełen oczekiwania na szczęście, jaki chwylał mię podczas dawnych powrotów, ale lęk, smutek, cierpienie. Pomyślałem, że muszę się kryć, unikać ludzi, żyć jak ścisgany i znów nie mogłem sobie znaleźć miejsca.

Na przystanku za mostem ujrzałem z okna robotnika kolejowego z Białej Wsi. — Co z Krzysiem? Gdzie Krzys? — krzyknąłem wychylając się gwałtownie.

Robotnik zamachał rękami, rzucił kilof i skoczył w kierunku pociągu. — Niech pan nie jedzie, Krzys w Topolowie w szpitalu — wołał. Pociąg ruszył szybciej i nie posłyszałem dalszych słów robotnika, choć on wciąż biegł i dawał rozpaczliwe znaki rękami.

— Coś widać jest poważnego — szepnąłem. Oddaliłem się od okna, bo pociąg zbliżał się już do stacji w Wsłobrzegu i usiadłem na ławce.

„Nie wysiadę w Białej Wsi, pojedę na Suchorzów i przejadę się tam na pociąg do Topolowa. Z Krzysiem przecież muszę się zobaczyć” — postanowiłem wśród natłoku męczących mię gwałtownych, sprzecznych uczuć.

Wzruszenia, szalejące myśli szarpały mną, ale rozumowałem chłodno.

Nikt ze znajomych nie wszedł na stację do mego przedziału, podniosłem się i znów stanąłem przy oknie. Wiesz moja rodzina leżała oto przede mną jak na dłoni, kościoł wśród wysokich starych lip, pocerniały klasztor, rozwaliska folwarczne, aleja kasztanowa za dworem, setki domów krytych dachówką, to strzechy, łany wysokich już żyt, mocna zielen pszenic, jęczmienia i owsa, szare i popielate zagony kielkujących dopiero ziemniaków. A nad tym wszystkim niebo bezchmurne, jękl linii telegraficznych, buchająca pieśń skowronków.

Tam gdzie ludzie byli na polach blisko torów, cofałem się i zastaniałem twarz kapeluszem. Pociąg minął bielejący budynek mleczarni, kępy wierzb na mostku nad wysychającym strumieniem i przy niewielkiej górze, przeciętej potężnymi słupami linii wysokiego napięcia zatrzymał się. Tu był przystanek białowiejski. Z drżeniem serca znów czekałem, czy drzwi się nie otworzą i ktoś nie wejdzie, nie zaszło przecież nic takiego.

Upadłem teraz na ławkę i siedziałem skurczony i jak martwy. Na chwilę schwyciło mię takie zniechęcenie i obrzydzenie do życia, że nie byłem w stanie ani patrzeć na przesuwające się pola.

W Suchorzewie, małej stacyjce, otoczonej zewsząd lasami, gdy wysiadł, poczułem że coś popsuło się w moim organizmie, ledwie mogłem iść. Schyliłem się i pomacałem kostki. Stara, moja choroba wracała.

Zapytany przeze mnie o pociąg, młody, hałaśliwy urzędnik ruchu, wzruszył z niechęcią ramionami.

— Nie będzie połączenia do wieczora. Trza było wysiąść w Wsłobrzegu.

— A towarowy jaki nie idzie?

— Stoi. Może pan leżeć na brek, psiakrew, jeśli to panu odpowiada.

Pognałem w kierunku stojących wagonów, gdy naraz niespodzianie usłyszałem za sobą krzyk: — Panie Kunefal! panie Kunefal!

Dopiero dziś widzę, jak śmieszne było moje zachowanie. Spocony jak mysz, chwytając się na chorych nogach dopadłem do pociągu, a mężczyzna, który mię wołał, był i tak już przy mnie.

— Nie poznał mię pan? Co pana zagnało do Suchorzowa?

Popatrzyłem w szeroką, o wydatnym czole i zagiętym do przodu podbródku twarz chłopca i poznałem, że to jest działacz ludowy z Suchorzowa, kiedyś kandydat na posła, znajomy mego ojca nieboszczyka.

— Przypadkowo, przypadkowo — bełkotałem. Osa mię atakowała i zająłem się szczególnie nią na chwilę.

— No i co, narady w Moskwie, widzi pan, nie sami peperowcy będą rządzić w Polsce.

— Jakie narady? — Udałem, że nie wiem o niczym, pozwoliłem chłopcu mówić bez końca.

— Teraz do nas będzie się garnać inteligencja, bo my będziemy rządzić.

— Kto, znaczy się, będzie rządził?

— E, pan robi ze mnie głupka, pan już się przeistoczył całkowicie w peperowca. Rządzić będziemy my ludzie ziemi, prawdziwi ludowcy.

Wciąż trząsał mną lęk, ale rozum mój był okrutnie jasny mimo to.

— Prawdziwi ludowcy, to znaczy bogaci chłopci, tak?

Działacz niespodzianie szczerwieńiał, jego guziaste, olbrzymie czoło załśniło się od potu, z siwych oczu posypały się iskry.

— Wszystko będzie inaczej. Reforma Rolna na nowo, reforma milicji i wojska.

— Chcecie pozostawić ziemianstwo?

— I ziemianstwo potrzebne w swoich granicach.

— Kochany panie Janus, dlaczego to pan otwarcie nie powie, że wy bogaci chłopci chcecie zająć rolę dawnego ziemianstwa i skolidać się z nim. Przecież pan właściwie o tym marzy.

— Chłop musi być niezawisły, niezawisły. Ja z panem nie mogę mówić szczerze, pan pochodzi z chłopów, ale nienawidzi chłopca.

Lokomotywa niespodzianie zagwizdała, wagony zachwiał się i ruszyły.

— Zejdź, panie Kunefal. Mam trochę bimbru, napijemy się i pogadamy. Pojedzie pan osobowym — wołał działacz i biegł koło pociągu parząc na mnie prozaco. Ja jednak tylko zamachałem kapeluszem mu na pożeg-



gnanie i usiadłem na stopniach. Poczulem się z nagłą wyczerpano do ostateczności.

W Topolowie wyszedłem z pociągu już za stacją i udałem się drogą polną do miasta. Była już pierwsza, słońce paliło, w mglistej białej poświacie drżało miasto — dwie wieże kościelne i luk domów ucepiiony z jednej strony pół, a z drugiej lasu szpilkowego. Ponieważ szpital stał poza miastem, udałem się do niego nie przez ulicę, a pastwiskami widniejącymi szeroka zieloną trawą przy lesie.

Do Krzysia dostałem się nie bez trudu. Zastępca dyrektora szpitala, mój kiedyś dobry znajomy doktor Nowotka, powiadomiony o przybyciu jakiegoś mężczyzny w odwiedziny do Krzysia, wyszedł sam na korytarz i już zdaleka ogłębł mię bystrym, nieufnym spojrzeniem.

— A to pan, panie Jasiu — rzekł podając mi rękę. — Nie jestem zadowolony, że pan przyjechał. Sprzeciwiłem się wysłaniu depeszy, ale pani Weronika się uparła.

— Tak było źle z bratem?

— Owszem, nie tego było, ale dziś już po krzyżysie.

— Mogę go odwiedzić?

— Na krótko. Niech pan przede wszystkim uważa na siebie, nie bardzo jest pewny pana pobyt tutaj. My nie możemy dać gwarancji za bezpieczeństwo, proszę przyjść do mnie do kancelarii przed wyjściem.

Te słowa suche, lecz kierowane, to widać było, życzliwoscia, ścięli mię doprawdy z nóg, zaschnięli mię język i serce u gardła.

Latały mi plamy przed oczyma, że Krzysia ledwie poznałem. Leżał na wspólnej sali blady, wyschnięty, z podbitymi wielkimi oczyma, ostrzyżony do skóry.

— Niech się pan nie podnosi, nie można — krzyknęła na niego pielęgniarzka, gdy uczynił gwałtowny ruch głową.

Uściskałem mu mocno rękę i popatrzyłem w oczy.

— Już nie ma niebezpieczeństwa? — wyszeptałem.

— Nie ma — odpowiedziała pielęgniarzka, patrzeć wścibskim wzrokiem na moje zakurzone włosy i ubranie.

— Niech pan! odejdzie — mruknął Krzys i spojrział twardo na kobietę.

— Był nie długo — rzuciła od drzwi.

— Dobrze, że przyjechał, ale wracaj natychmiast, tu teren bardzo niepewny i to szczególnie dla ciebie. Napadnięto mię wtedy, gdy wracał ze stacji z Ulanowa. Stach zdążył uciec, mnie dwie kule trafiły.

— Pytali się na pewno o mnie?

— Tak, tak, oczywiście. 15 ludzi było mo- że, uzbrojeni od stóp do głów.

— Poznałeś kogo?

Krzys w tej chwili odwrócił głowę błyskawicznym ruchem i rzucił zaniepokojone spojrzenie na swoich współtowarzyszy, którzy niby czytali książki, ale i tak wychylali głowy, by podłuchać coś nie coś, jeśli się da.

— Nie, to nikt z naszych wsiowych ludzi, to ktoś zdaleka.

— Gdzie cię ranił?

— Obydwe kule w nódze, trzecia poszła po zębach.

— Jak Weronika?

— Była do wczoraj bez przerwy. Dzisiaj też będzie, ale chyba dopiero nad wieczorem, przyjedzie na rowerze.

— Masz tu opiekę?

— Doktor Nowotka dba o mnie aż nadto.

To ze względu na ciebie tak się mną opie-

Wiktor Woroszyński

DO TWÓRCY

Ciemność ucieka, jak owad.
Oczyma ranek otwierasz.
Wstajesz, aby budować
chleb, but, dom, wiersz.

Treść i konstrukcję zewnętrzną
hojną ustawiasz dłonią.
Rośnie bochen, cęgi się piętrzą,
chrząści skóra i słowa dzwonią.

A czasem rozłazi się ciasto,
cięży młot — nie utrzymasz,
pod rusztowaniem chwileje się miasto,
wiersz — niemy grymas.

Wtedy — twarde chwyt pięciopalec,
myśl, jak ciężew, rozkurczasz
To się nazywa — walczyć,
to się nazywa — twórczość.

Wreszcie — dochodzisz do końca.
Patrzysz: nikły urodzaj.
Nieraz tak bywa co dzień,
Co dzień przez długie miesiące.

Męczysz się znów do wieczora,
myślisz: uda się jutro,
nie ucieknij, jak dziś i wczoraj
z dłoni uparty but.

Nazajutrz — o noc lżejsza głowa.
Oczyma ranek otwierasz.
Wstajesz, aby budować
chleb, but, dom, wiersz.

* Fragment z ostatniego tomu „Jasia Kunefala”, który pod tyt.: „Ucieczka z miejsc ukończonych” ukazuje się w najbliższym czasie nakładem „Książki”.

kuje, czytał twoje książki i bardzo cię ceni. — Przetarłem oczy, bo w krótkiej sekundzie wydało mi się, że przedzieram się przez jakiś sen koszmarny. Zobaczywszy twarz chorego na sąsiednich łóżkach, dopiero z przeraźliwą jasnością zrozumiałem gdzie jestem.

— A co w domu? Jak mama zniosła ten napad? — spytałem.

— Z mamą nie dobrze, zachorowali — wyrzekł szeptem Krzys. Mówił przez „wy” o mamie, jak to czynił jako dziecko, widząc był bardzo wzruszony.

— Leżą od tamtego czasu; — dodał widząc zaniepokojenie w moich oczach — chyba to nie śmiertelne, ale czy ja wiem, przy ich słabym zdrowiu...

Pielęgniarka weszła już i obcesowo dawała mi znać chrząkaniem, że powinienem odejść. Uściskałem więc Krzysia, prosiłem go by pisał jak najczęściej i uczyniwszy jakieś nieporadne ukłony w stronę chorych, wyszedłem z pielęgniarką na korytarz.

— Proszę za mną — rzekła — doktor prosi pana.

— Nie poznaje mnie pan naprawdę? — stanęła nagle i zasłoniła plecami drzwi. — Jestem Kędziorówna, byłam kiedyś z panem na majówce w Zwierzyńcu.

— A to pani — bąknąłem cicho, chociaż nie poznałem kobiety. — Pracuje tu pani, świetnie. Co słychać?

— A właśnie, że pan mnie nie poznał — zburczała i z gniewną miną otworzyła mi drzwi od pokoju doktora.

Na stole stał obiad, doktor Nowotka postąpił kilka kroków i wziął mnie za ramię.

— Zje pan tutaj i posiedzi trochę, wieczorem odprowadzę pana przez pola i wsadzę na pociąg. Tak będzie dla pana najlepiej.

Milczałem i patrzyłem najwidoczniej surowo i odpychająco, bo doktor zmieszkał się i cofnął.

— Pielęgniarka Kędziorówna widziała wprowadzić pana, ale ona nie powie nikomu, jest to dobra i oddana mi zupełnie dziewczyna. Zresztą znała pana kiedyś, wspomina o tych czasach zawsze.

Zupa była już na talerzu, obok na półmisku widać było tłusto wysmażony koflet i flaszkę z piwem.

— Proszę pana, ja będę jak najszczerzy, pan wie przecież, że darzyłem pana zawsze szacunkiem — odezwał się znów doktor. Je-

go łagodna o regularnych rysach twarzy i czoło zlekka łysiejące pokryły się rumieńcem. — Gdyby banda dowiedziała się, że pan tu jest, napad na szpital byłby nieuchronnie w nocy.

— Te napady się udają, bo ludność bandom pomaga — mruknąłem.

— Być może. No cóż, zwykła historia po wojnie. Nie każdy jest jednak powiązany z bandami, ludzie przede wszystkim pragną spokoju, odpoczynku.

— Sytuacja jest bardzo skomplikowana. Polski problem jest wcale nie prosty, choć panu się tak wydaje.

Czułem wzburzoną falę kłótniowości w sobie i przekory, ale spojrzawszy na patrzącą na mnie przyjaźnie, okrągłą, szaroniebieską oczy doktora, przerzuciłem się swoimi myślami w zupełnie innym kierunku i zawolałem:

— Nie będę udawał bohatera, chodzi mi o moją skórę, ale czy pan doktor nie sadzi, że lepiej byłoby przejechać za Wisłę i tamtejszy udać się do najbliższej stacji kolejowej?

— Wspaniała myśl. To będzie najlepsze — ucieszył się doktor.

W godzinę później przez las tak mi znany, przez który tyle razy biegłem na przygodne spotkania kiedyś, szedłem w stronę Wisły.

Las był jednak od czasów walk frontowych dużo rzadszy, wiatry wiały przez niego jak przez małą dębinkę. Przed wojną w soboty i niedziele przez ścieżki tutaj przewalały się tłumy ludności z miasta i z pobliskich wiosek, teraz było smutnie i pusto. Kukułka kukułka, oberwany pastuch paś krowy, jakaś staruszka drzemała i patrzyła na koze, która drapała się na cienkie dębezaki i gryzła korę. Upalnie było, zrudziła była pościółka w lesie, trzy tablice stojące na grobach czerwonarmiejców przy drodze wypełzły już na stocia i stołcu.

Miałem szczerzy zamiar wsiąść na prom i pojechać na drugą stronę Wisły, ale dokucające mi nogi i napastująca mnie senność wstrzymały mnie na razie od przeprowadzenia planu. Omijając puste brzegi rzeki, pełne kąpiących się młodych chłopców i dziewcząt, pewnie to byli uczniowie i uczennice z gimnazjum miejscowego, wszedłem w krzaki wikliny i przedzierając się przez zarośla jakie piętnaście minut, zatrzymałem się wreszcie...

Słońce stało jeszcze wysoko, dyszało żarem w gęstwinie. Nawet owady zdawały się spać i czekać na godzinę przedwieczorną. „Przebieg dobrze, płynię, mogę przepłynąć rzekę i wieczorem” — pomyślałem. Uspokojony leżem w cieniu wśród dźwięcznej ciszy na rozłożonej marynarce i anim się nie polapał kiedy i jak zasnąłem.

Zbudził mnie chłód. Zerwałem się, patrząc, a to już zachodziło słońce. Opodał przy wale ryczały krowy, rozlegało się jakieś wołanie, miasto stało w oczyszczonym od kurzu, intensywnym, błękitnym powietrzu.

Do promu nie chciało mi się iść, za dużo czekało na brzegu ludzi, na przepłynięcie Wisły też nie mogłem się zdecydować, bo noga prawa jeszcze bardziej mi spuchła. „A nuż złapie kurcz, nie dam rady, po co ryzykować” — pomyślałem szybko. Wahałem się, patrząc na wszystkie strony, zbliżyłem się do wody i obmyłem twarz.

— Jakto — pojedziesz i nie odwiedzisz śmiertelnie chorej matki? — rozległo się nagle we mnie spazmatycznym krzykiem. — Nie darowałbyś sobie do końca życia. Głupi, doktor zawsze miał stracha, dzisiaj też przesadzał we wszystkim! — Niespodzianie nie czując lęku postanowiłem pójść do domu, zabawić tam z godzinę, porozmawiać z matką i znowu potem udać się przez pola za Wisłę.

— W najgorszym razie krewniak z Poćmierzowa, Goraj, przewiezie mnie na krypie na drugą stronę — mówiłem do siebie i szybkim krokiem szedłem przez kępę w stronę wału. Ostatni ulamek słońca zapadał za czystą linię wzgórza, ustał zupełnie wiatr, ani liść nie zadrgał na wysokich starych topolach. Za rzeką ryczały krowy, niósł się wrzask gęsi, tu po tej stronie była cisza, granałowiło coraz bardziej niebo, cienie rozpyływały się w siności nieruchomych żyt. Wieś Łązek minąłem prędko, przy Radwańcach dopiero, na drodze leżącej kasztanami w stronę folwarku stanąłem na chwilę i patrzyłem na pola.

Czerniało już, ale i tak widać było na dawnych łąkach dworskich pocięte zagony kartofli, jeźmienia i owsa.

„Nie prawda, że nie obsłane są pola z reformy — pomyślałem. — Gdzie tam chłop nie zasieje, gdy tylko ma ziemię!”

Chłód i mocny mrok leciał od kępy, od wiekowych drzew, od topoli rosochatych, ni-

skich spróchniałych wierzb i gęstej wikliny. Najbliższą wioską wzdłuż wału były Zieleńce. Tam znał mnie już każdy chłop, znała każda dziewczyna, nie podobna było iść po wale. „Muszą tam spacerować młodzi jak zawsze, domy są przecie o 5 metrów” — mówiłem. Nie wahałem się, zbiegłem do kępy i dotem posuwałem się bardzo wolno przez trzaskawską i rowy. Na wał wyszedłem z powrotem dopiero za Zieleńcami. Mrok był już pełny, błyskały gwiazdy, śpiew dziewcząt niósł się zdaleka, tak jakby spod kapliczki.

Byłem już na drodze oddzielającej pola zielenieckie od białowiejskich, gdy z rowu wyskoczyła jakaś olbrzymia postać i krzykiem zatrzymała mnie na ścieżce.

Tracąc oddech z przerażenia poczęłem się cofać.

— Kto jest? Mów, bo strzylom! — ryknął nieznajomy.

— Wuj, to ja — szepnąłem czując zalewającą mnie falę nadziei, poznałem bowiem po głosie, że nieznajomy to wuj Jacek.

— A to ty, co za pieron cię przyniósł! Le-piej, żeby cię matka nie rodziła, ale gdy już cię urodziła, to stosownie było dla ciebie tam, gdzie teraz żyjesz.

Począł kłać i rzucać obelgi na nową władzę, na nowe porządki. Nie dał mi dojść do głosu.

— Nasze drogi nie idą razem, nie pójdą razem, idź w swoją stronę, pókim dobry.

— Co robisz? Ha, ha, ha, celuję w dzień do kłosa, by nigdy nie chybić!

Struchlały, wytracony zupełnie z równowagi, pognąłem w stronę zagaja. Rosa była jak sztywny kłut, cisze śpiew pasikonika. Zdaleka widziałem, że się nie świeci w domu, tym bardziej rzedłowała mię trwoga. Już stodoła, potem orzech, murawa pod studnią. Bukiet zaczął ujadać, ale poznawszy mnie zaskomlił radośnie, rzucił się na łańcuch.

Moje pukanie do okna wywołało przestrach. Posłyszałem jęk Marysi, Sajwaj dopiero po kilku chwilach podszedł do szyby. — kto, tam?

— To ja, Jaś. Otwórzcie.

— Psiakrew, ciebie na taki cholerny czas prowadzi — zaklął Sajwaj odsuwając zasuwę.

— Ja tylko na pół godziny. Wracam od Krzysia... Co z matką?

Stanisław Pięta

1798-1948

W 150 ROCZNICĘ URODZIN POETY

NARODOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA

pod wysokim protektoratem Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dn. 5.V. 1945 r., na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

ogłasza

PRZEDPŁATĘ

na Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza

obejmujące w 15-tu tomach, w 4-ch seriach całość spuścizny duchowej Poety.

Tekst krytyczny opracowany na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego. Wydanie na papierze bezdrzewnym, w okładce półsztywnej.

WARUNKI PRZEDPŁATY SERII PIERWSZEJ

obejmującej całość twórczości poetyckiej Adama Mickiewicza

w 4-ch tomach, o łącznej objętości 1700 stron, w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy

1. Wszystkie 4 tomy serii pierwszej ukażą się jednocześnie w dniu 15 listopada b.r. i będą wysyłane zamawiającym w kolejności zgłoszeń.
2. Cena czterech tomów stanowiących serię pierwszą wynosi w przedpłacie łącznie 800 zł, płatnych jednocześnie z podpisaniem deklaracji lub też w 4 ratach po 200 zł — w miesiącach: czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu, albo w dwóch ratach po 400 zł — płatnych w miesiącach: czerwcu i wrześniu — na konto P.K.O. I — 7474. Cena w sprzedaży księgarskiej będzie dwukrotnie wyższa.
3. Zamawiający wypełnia deklarację, w której zobowiązuje się do uiszczania całej należności w terminach przewidzianych i przez siebie wybranych i przesyła ją pod adresem:

„CZYTELNIK”, INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA, ul. DASZYŃSKIEGO 14.

Deklarację można otrzymać we wszystkich księgarniach

4. Zgłoszenie przedpłaty na serię pierwszą nie pociąga za sobą obowiązku zamawiania dalszych serii. Natomiast zamawiającym serię pierwszą będą przysługiwały przywileje przy seriach następnych.

Dokładne warunki i terminy ukazywania się serii dalszych będą podane w osobnych ogłoszeniach i prospektach.

Witold Jedlicki

Złe sumienie burżuazyjnej inteligencji *)

I

Wjeście pani Konstancji Martenowej miało w sobie zawsze coś monarszego. Była majestatyczna i okazała. Dość wysoka, wyższa od męża, zesznurowana tak mocno, że biust i bez tego wydatny, tworzył rodzaj tacy pod brodą. Na jej biodrach i siedzeniu, zastępych w gorsecie, spódnica zdawała się pękać, napięta nieruchomo jak na meblu. Poniżej rozłożystych bioder było falowanie kaskad materiału, falban i riuśzek. Wysoki kołnierzyk, jak chomonto końskie wieził szyję i unieruchamiał głowę, która w tym stężeniu przytębiała jeszcze bardziej majestatyczny wyraz. Dwa podbródkie, nos szeroki i perkaty, usta pełne ale blade, czoło aż po brwi zakryte grzywką z cudzych włosów, przypięta kunsztownie nad czołem. — Panią Konstancję nazywano powszechnie „belle femme”. Tę określenia dla tegiej okazałej kobiety instynktownie nikt nie polszczył, jakby czując że z pięknem ma to niewiele wspólnego. We Francji w tym okresie złego smaku w modzie był tłumacz: tłuste, przelewające się kobiety, „tłuste” dowsipy. Hodowane z lubością sadio, ściśnięte później w krochmalonych goraskach, kołnierzykach, fiszbinach, rościło sobie pretensję do urody. Sadio jako generalny eksponat tego okresu powtarza się rzeczywiście wszędzie. W „Niebie w płomieniach” Teofil Grodzicki przynosi nam do pocatunku w tusty kark swego ojca. Galsworthy zastanawia się, który z jego umiłowanych Forsytów jest tusty, a który szcypu. Te fakty cytuję z pamięci. Ale wydaje mi się, że wszędzie, gdzie mamy do czynienia z mieszczańską rodziną ostatnich dziesięcioleci lat XIX stulecia, prześladowa nas widmo sadio. Sadio nie schodzi też ze stron „Skutych i wolnych”. Dla Huberta Broniszewskiego, schorowanego studenta — socjalisty tusza wuj — przemysłowca symbolizuje ukradzioną jego robotnikom nadwartość pracy. U Hesi Martenowej sadio oznacza pocziw bezwolności. Mamy więc sadelko liryczne, sadio majestatyczne, wreszcie sadio jako miarę wszechrzeczy.

W ten sposób Irena Krzywicka dyskredytuje pozytywizm od strony estetycznej. Wyżyst społeczeństwo łączy się zazwyczaj z jakimś kontrastem estetycznym; wyzyskiwacz za pieniądze zrabowane wyzyskiwanemu może sobie kupić piękno. Tutaj tego nie ma. Doznajemy ujemnych uczuć estetycznych, zarówno przy opisie nędzy panującej w czworakach folwarcznych, jak i przy opisie mebli z szufladami zawierającymi stęzauryzowane pieniądze zamożnych i przeraźliwie skąpych matron mieszczańskich. W relacji Krzywickiej epoka pozytywizmu przedstawia się jako epoka skąpstwa. Skąpstwo było obowiązkiem człowieka, który chciał być dobrze notowanym w opinii. Ubiegający się o rękę córki, który w ostatniej chwili zmniejsza o połowę sumę przeznaczoną na napiwek dla kelnera (całość wynosiła 10 kopiejek), zostaje pozytywnie oceniony przez matkę narzeczonej. Skąpy jest mieszczański i skąpy jest szlachcie. Starsze panie rozkoszą wyliczania pieniędzy kompensują sobie niezaznane rozkoszy erotyczne.

II

Ci ludzie nie mogą jednak w żaden sposób obejść się bez poczucia własnego dostojenia, własnej wyższości. I tutaj przesąd społeczny święci triumfy. Zna bogatego przemysłowca obwołano dla snobizmu w własnym powozie utalentowanego skrzypka. Żyda zostaje obrzuconą pogardliwym spojrzeniem przez mieszczkę, uświadamiającą sobie, że ona wpuszczała tego samego skrzypka do swojego mieszkania jedynie drzwiami kuchennymi. Ale cóż daje lepsze poczucie własnego dostojenia i wyższości, jak filantropia. Przecież w swym założeniu filantropii jest dystans pomiędzy udzielającym pomocy i tym, który z niej korzysta. A więc filantropia odchodzić całą parą. Hubert Broniszewski w swojej dość groteskowej jak na óskaarystyca istniejącego ustroju mowie, stwierdza stosunkowo lepszą sytuację materialną robotników w zakładach przemysłowych Bohusza na skutek akcji filantropijnej pracodawcy. W niewątpliwie najlepszej scenie powieści widzimy, jak dziedziczka opiekuje się ludem. Na ganek dworu przychodzi chory chłopiec. Dziedziczka udziela im porad i rozdać lekarstwa. Dopuszcza do rozmowy tylko: 1) o ile chłopcy pochodzą z jej wsi, 2) o ile choroba nie przybiera zbyt nieestetycznych przejawów. Na wszystkie niedomagania dziedziczka wów. Na wszystkie niedomagania dziedziczka zapisuje im albo rycynę albo kalomel. O ile to nie pomaga, pozostaje lekarstwo trzecie — uniwersalne i niezawodne — oddanie chorego pod opiekę boską. Z tego powodu pani dziedziczka ma okazję do zamanifestowania, ile to ona robi dla ludu, tenże zaś „lud” w jej własnym majątku mieszka w warunkach najgorszej nędzy w czworakach folwarcznych, nie mając żadnego ratunku przed ciągłymi śmiertelnymi wypadkami chorobowymi. Trzeba przyznać, że Krzywicka uderzyła w pozytywizm od tej strony, od której dał on się uderzyć: od strony kontrastu frazeologii z rzeczywistością. Ciekawe, że nie wszędzie bogactwo się mieszczańskie potrzebował sankcji moralnej dla bogactwa się. We Francji Guizot mówił: „enrichissez-vous” bez żadnych zastrzeżeń. W Polsce, o ile twórców pozytywizmu nie można posądzać o brak czystych intencji, o tyle w okresie opisywanym przez Krzywicką każdy szwindel finansowy zasła-

niało się sloganami pozytywizmu. Pani dziedziczka „tyle robiąca dla ludu” nie jest postacią odosobnioną. Bogactwo się przemysłowca jest w absolutnej zgodzie z własnym sumieniem, „bo przecież trzeba podnosić kraj ekonomicznie”. Dopiero młode pokolenie karierowiczów (Gucio Marten) zrywa z frazeologią na rzecz absolutnego cynizmu. Trzeba przyznać, że dyskredytacja etyczna pozytywizmu jest tu niemniej perfidna, niż zozydzenie go sadłem z punktu widzenia estetycznego.

III

Dwojaka opozycja wyrasta przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Pierwsza, to opozycja inteligentnych grup posiadających bogate tradycje powstańcze, nastawionych patriotycznie i z tej racji odnoszących się niechętnie zarówno do pozytywistycznego koniunkturalizmu, jak i nowych prądów socjalistycznych. Grupa ta, odznaczająca się jakimś naiwnym humanitaryzmem, znajduje się de facto na marginesie życia społecznego, szuka ucieczki od rzeczywistości bądź w pracy naukowej, bądź w okultyzmie czy spirytyzmie.

Druga opozycja, groźniejsza, to opozycja młodzieży. Posiada ona trzy aspekty: bunt przeciwko strukturze rodziny mieszczańskiej, bunt przeciwko oficjalnej religii i bunt przeciwko niesprawiedliwościom ustroju społecznego.

1) Bunt przeciwko strukturze rodziny mieszczańskiej. Wydaje mi się, że to zagadnienie potraktowane zostało przez Krzywicką psychologicznie trochę niesłusznie. Przypomnijmy sobie, jak ta sprawa wygląda w książce: młodsza córka obwinia matkę o przymusowe wydanie za mąż starszej siostry, młodszy syn nienawidzi starszego brata za uwiedzenie służącej**). córka protestuje, gdy matka śle traktuje nauczyciela Żyda, dzieci oburzają się, że rodzice w tak późnym wieku utrzymują ze sobą jeszcze stosunki seksualne itp. Siłowem poczucie etyczne dziecka buntuje się przeciwko obiektywnej niesprawiedliwości. Czy ten proces istotnie zwykle tak przebiega? Sądzę, że nie. Zazwyczaj dziecko zaczyna od egoistycznego buntu przeciw własnym doznaniom krzywdy. Dopiero na wysokim stopniu dojrzałości może przysięść zarówno obiektywna ocena rzeczywistości jak i poświęcenie. A u Krzywickiej dziecko od tego zaczyna.

Cały ten bunt okazuje się zresztą absolutnie bezskuteczny, rodzice nie posiadają żadnego autorytetu moralnego, jednakże obawa przed nimi jest niesłychanie silna. Dla prac konspiracyjnej Kamila Martena własna matka jest dużo poważniejszym i bardziej bezpośrednim niebezpieczeństwem, niż cały carski aparat policyjny. — Znamyśmy za dostatecznie teni, aby można było ich oszukać, własnej matki oszukać nieposob.

2) Bunt przeciwko oficjalnej religii. O ile w tamtym wypadku podstawą do buntu była obiektywna ocena rzeczywistości, o tyle w tym wypadku — absolutnie niewiadomo dlaczego — poszczególne fazy poglądów na sprawy Boga i religii są podsytkowane wyjątkami stanami emocjonalnymi. W „Niebie w płomieniach” dyskusje religiozyczne mają może — zważywszy wiek Teofila Grodzickiego — zbyt akademicki charakter, u bohaterów Krzywickiej utrata wiary nie posiada żadnej sankcji intelektualnej, polega jedynie na czysto subiektywnej, najzupełniej dowolnej interpretacji rzeczywistości. Obie skrajności, zarówno Paradowskiego jak i Krzywickiej, wydają się niesłuszne. U Krzywickiej momentem obciążającym jest dodatkowo wyrażona sprzeczność w jej koncepcji bohatera, który raz stanowi wzór racjonalnego, obiektywnego myślenia, w innej zaś sytuacji rządzi się wyłącznie subiektywnymi doznaniem i emocjonalnymi.

3) Bunt przeciwko niesprawiedliwościom ustroju społecznego. Pierwszą przyczyną tego —**) Przez problem ten Krzywicka nawiązuje tematycznie do całego problemu tzw. dulszczyzny, postawionego przez Gabriela Zapolską. Problem ten streszcza się w zagadnieniu hipokryzji, dopuszczającej do wielu skandalów w obrębie rodziny i nie pozwalającej jednak absolutnie do wydostania się wiedzy o nich po za jej obręb. W myśl tej zasady uwiedzioną przez syna służącą jest natychmiast wydalona z domu i pozostawiona całkowicie bez opieki, pomimo tego, że jest w ciąży.

Krzywicka nawiązuje zresztą do Zapolskiej nie tylko tematycznie, ale wprost formalnie przez nadanie Martenom pokrewieństwa z Dulszkiem. Eksperyment ten wydaje mi się zresztą niewłaściwy.

buntu jest z kolei — wbrew pozorom — własne doznanie krzywdy, spowodowane przez rosyjską szkołę, bezpośrednie, brutalne zefknięcie się z akcją wyznawcą. Kamul Marten i jego koledzy chcą walczyć — nie inaczej jak ich ojcowie — o Polskę. Idą do ruciu socjalistycznego, dlatego że on jeden wówczas podejmując hasło walki wyzwolenczej. Dopiero partia otwiera im oczy na pewne zjawiska społeczne, o których oni albo nie wiedzieli, albo nie zastanawiali się nad nimi. Następuje świadoma obserwacja tych zjawisk, dzieci doszregają nędzę panującą wśród robotników swoich ojców, w wyniku czego (nastroje są oczywiście zbyt radykalne, aby zadowolili się jakimikolwiek koncepcjami filantropijnymi) powstają mocno naiwne próby poznania i zbliżenia się do tych ludzi, co więcej nawet zrezygnowania z własnej uprzywilejowanej pozycji społecznej i podzielenia

Jerzy Falenciak

Po tamtej wojnie *)

Akcja powieści Bohdana Peplowskiego „Całun”*) zamyka się w króciutkiej epoce między końcem wojny 1918 r. a zamachem Piłsudskiego w 1926 r. — licząc z pewnym niedomiarom. Rzecz cała rozpoczyna się w Warszawie w pamiętnej chwili rozbrajania Niemców. Potem wyprawa 1920 roku pokój w Rydze i wreszcie najważniejsza właściwie część akcji.

Główne postacie powieści — jest ich wiele i wszystkie równorzędne — należą do środowiska wyższej burżuazji warszawskiej. Przynależność ta jest jednak niejednorodnego charakteru. Jedni bowiem, jak rodzina Boreckich, Gurowskich, Obimowskich i Kostrów uważają się i są uważani za „dobrą szlachtę”, arystokrację, prawda że po miejsku inteligencją, co stanowiło w ówczesnym przekonaniam stan upadku przynajmniej towarzyskiego. Baronostwo Passinger był neofitami o plutokratycznej tradycji od kilku pokoleń. Michał Piekarczyk, a później Piekarczywski, urodzony w rodzinie małomiasteczkowego ślusarza, ale nieprawy syn bogacza, wśliznął się niepostrzeżenie do tej sfery. Syn tragarza Wiktor Sadowicz zostawia lekarzem pozyskał oczywiście dostęp do „dobrych domów” (bez przecież wewnętrznych właściwych nuworyszom, bo to jedyna trzeźwa i dodatnia postać „Całunu”). I na ostatek aktor Gamelis, ciekawy przypadek człowieka kroczącego na pograniczu wykołajenia a nigdy wykołajonego. Njeliczne w powieści kobiety odpowiadają jako typy charakterów występującym tam mężczyznom.

Stefan Borecki, panicz co się zowie, ale niezły chłopiec, służy najpierw w wojsku polskim jako ochotnik, walczy przeciwko czerwonej armii, a po pokoju ryzykiem powraca do cywilnego życia. I w tym momencie rozpoczyna się jego upadek, spotykany zresztą u większości „złotej młodzieży”.

Nie trudno sobie przypomnieć, że w tamtych czasach wykołajone młodych, bogatych inteligentów usiłowano przeważnie tłumaczyć przejściem, wcale nie tak złym strasznego wojny 1920 roku. Podobna tendencja jest i dziś w modzie, chociaż niewątpliwie bardziej usprawiedliwiona wobec grozy wojny ostatniej.

Z problematyki „Całunu” B. Peplowskiego nader różnorodnej i interesującej, należy wyłowić kwestię istotną dla obecnego czytelnika. Co było więc prawdziwą przyczyną upadku Stefana Boreckiego?

W każdym razie nie wojna, a jeżeli nawet i tak, to w podrzędnym stopniu. Przecież jego ojciec i matka byli już bankrutami, zanim stał się nim on sam, ich ideowy i materialny spadkobierca. Bankructwo Boreckich i innych podobnych było czymś właściwym tej klasie organicznie uzasadnione długim szeregiem faktów ekonomicznych i socjologicznych, choć utrzymywali się „w sferze”, zachowując cenzy dobrobytu warunkujący przynależność do „najwyższego towarzystwa”. Wydarzeniem, które bankructwo klasowe i towarzyskie czyniło podobnym do pojedynku jednoosobnego bankructwa kupca, było powstanie Państwa Polskiego, w okolicznościach bądź co bądź rewolucyjnych.

Czuł się dobrze pan Obimowski (Polak, z czasów petersburskich Paweł Edmundowicz, z czasów paryskich — Paul) kiedy to klaruje młodemu efemery artylerii Stefanowi: „...wobec katastrofy, która spotkała Cesarstwo (tzn. rosyjskie), wszystkie środki są dobre... Jeżeli zdążymy dopomóc generałowi Danikowowi, Rosja nigdy nam tego nie zapomni... nie sądzi pan chyba, żebyśmy siłą naszych ochotni-

*) Bohdan Peplowski — Całun. Warszawa 1947. Wyd. Gebethner i Wolff.

niewesołego losu upośledzonych społecznie. Próby te kończą się zazwyczaj fiaskiem, jak to widzimy w opowiadaniu Huberta Broniszewskiego, który zapragnął podzielić dołę ludu stał się robotnikiem folwarcznym, przy czym celu swojego nie tylko nie osiągnął, ale wprost przeciwnie, zmuszony był do ucieczki ze wsi naskutek tego, że chłopci podejrzewali go o szpiclastwo. Broniszewski nauczony doświadczeniem przestrzega przed tym młode pokolenie doradzając im wykołajanie atrybutów ich inteligencji dla ruchu robotniczego. Następuje więc zmiana programu. Nie rezygnując z własnego wykształcenia, chcą za wszelką cenę pozbyć się hańby korzystania z pieniędzy rodziców, (a więc ukradzionej nadwartości) i zdobyć jakiś fach. A Wiktor z drukarni ojca pozostaje dla tych inteligentnych dzieci wciąż jakąś dziwnie mityczną postacią.

czym pułków mogli pobić nie tylko bolszewików, ale i całą potęgę odrodzonego Cesarstwa... Obimowski jest jednym z wielu, którym polskość przywróciła bolszewicka rewolucja. Nawrócenie to następowało wszakże pod warunkiem, że nowa Polska zachowa „a właściwie przynajmniej stary ustrój społeczny i gospodarczy zgasłego imperializmu carskiego. Ale Obimowscy przewidują, możliwe trudności w przystosowaniu się ich klasy do warunków nowego Państwa. Dlatego też monsieur Paul robi pewny interes żeniąc się jako wdowiec z bogatą damą; była to posilkowa asekuracja w myśl zasady, że szczęśliw ten, kto już coś ma (beatus qui tenet). Obimowska staje się z kolei kochanką młodzieńczego Stefana i wreszcie utrzymuje ich, obydwu, każdego na innej podstawie.

Borecy, jako element z polską ną to romantyczny ni pozytywistyczny, likwidują się majątkowo mniej więcej z „wybuchem Polskiego”. Mogliby ciągnąć dalej, ale efemeryczny rząd w Lublinie i te różne P. O. W., P. P. S., P. O. L. itp. działały przyspieszając na procesy szlachecko-inteligentnej regresji na tle XX-to wiecznych prawdziwie kapitalistycznych afer i interesów. Wówczas wszelako nie było jeszcze w powszechnej rutynie; jak dzisiaj, kładzenie bankructwa osobistego na karb przemian dziejowych bez wyjątku.

Koledzy szkolni Stefana, następnie jego towarzysze broni, coś tam osiągnęli. Doktor Sadowicz usiłuje być lekarzem społecznikiem, unikając pomyłek Judy (Żeromski wydał właśnie „Przedwiośnie”) Piekarczyk przepycha się lokciami i kolanami. Gamelis robi wszystko aby nie dojść do doskonałości w zawodzie aktora, tkwi w manierze kabotyna podług młodopolskiego przepisu. W sumie — bankructwo, Stefan popełnia samobójstwo, w czym odgrywa pewną rolę uczucie do Kitty Obimowskiej, wiedzącej dobrze o sprawach między nią a jej macocha.

Możnaby, komu to odpowiada, tak konstruować zagadnienie, i Stefan Borecki i jego przyjaciele żyli „bez dogmatu” dlatego albo źle kończyli, albo też zżerał się psychicznie i fizycznie, bez szansy na osiągnięcie wewnętrznej szczęścia.

To byłoby może słusznie, lecz z pewnymi zastrzeżeniami i wyjaśnieniami.

Po każdej wojnie, po tamtej jak i po tej, obserwuje się, jeśli wolno tak powiedzieć, przypływ rozpusty i pobożności zarazem. W „Całunie” Peplowskiego uzasadniają to twierdzenie, w pierwszej jego części nawet bohaterki; pani Obimowska, Kitty, Blanka i proletariuszka Zdzisia, siostra doktora Sadowicza (w tym ostatnim przypadku mamy do czynienia z objawem nietypowym). Ale te bohaterki nie potwierdzają tezy o pobożności tamtego okresu, bo była ona udziałem innego zupełnie środowiska.

Inteligencja burżuazja nie przedstawiała się wówczas po katolicku do czego była za to zobowiązana — z urzędu niejako — ziemianka szlachta, tytułem kolatorstwa. W mieszczaństwie, co więcej, tili się dalej liberalne nawyki, dzisiaj już całkiem wygasłe.

Peplowski nie wspomina o tej swoistej kategorii inteligentnej, która pasowała by w „Całunie” jak ulał. Z niej to głównie rekrutowała się na warszawskim bruku stała bojówka lamistrajkowska, występująca pod nazwą Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej (S. S. S.), poprzedniczka „Falangi”, „O. N. R.-ów” i „N. S. Z.-ów”.

Kitty Obimowska, a może i Blanka Passinger, gdyby je przenieść w obecne warszawskie stosunki, zaliczyły by się — jako studentki — przynajmniej do „katolicko-społecznych” jeżeli nie do Sodalskiej. Nie znaczy to wcale że widywały się je w procesjach „w bieli”, z chorągiewkami szarfami w rękę, pospół z kuchcikami od św. Zyty. To już inna rzecz, bo „panny w bieli” są nadal starymi i pokracznymi dziwadłami w wianuszkach dziewczęstwa i zwiewnych welonach. I nie znosi się na to, aby w ich miejsce lub obok nich stanęły rasowe i ładne panienki, zbrojne dziś w „dogmat”, odmiennie niż ich matki, religijne dopiero na starość.

A Stefana Boreckiego i teraz nie by nie uratowało od klęski. Nie wygląda on na to, aby mógł wybrać jako bankrut drogę pracy i przydatności społecznej. Wybrałby po prostu jak dawniej karierę moralnego gigolactwa, stając oczywiście w poprzek nowego porządku w Polsce; i podpisując się obydwiema rękami pod wskazaniami upolitycznionego, a zwanego wojującym katolicyzmu.

Co innego doktor Sadowicz i Gamelis, a kto wie czy też nie i sentymentalny karierowicz Piekarczyk-Piekarczywski. I to chociażby nie czuli ideologicznej łączności z ustrojem ludowym.

Brakło by im bowiem czasu na upadek i wykołajenie przy wykonywaniu konkretnych i pożytecznych zawodów.

*) Irena Krzywicka: „Skuci i wolni” tom I „Rodzina Martenów” tom II „Bunt Kamila Martena”. Sp. Wyd. „Czytelnik” 1947 — 48.

„Wies”		Prosimy, wypełnić czysto!	
DEKLARACJA			
Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię (4 tomy) Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza. Warunki przepłaty są mi znane. Należność w sumie zł 800 zobowiązuję się wpłacić na konto P. K. O. Nr. I — 7474 w ratach miesięcznych po 200 zł, lub w dwóch ratach po 400 zł albo jednorazowo w miesiącu czerwcu 800 zł.			
(niepotrzebne skreślić)			
Miejscowość		Miejscowość	
Imię		ulica, nr domu	
Zawód		Poczta powiat	
(Podpis)			
Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem:			
Warszawa ul. Daszyńskiego 14 „CZYTELNIK” Instytut Wydawniczy			

Do Red. J. A. Króla

Otrzymałem kilka kolejnych N-rów „Wsi”. Czytałem je od deski do deski, jako jedną tego rodzaju strawę duchową w tut. warunkach. Rozrzucony zostałem treścią listu Kolegi S. Skulskiego, którego realizm napienia mnie wiarą i optymizmem w dążeniu do powrotu. Iż to razy gawędziłem już z Kol. Wł. Wójcikiem na temat zaistniałego w Ojczyźnie zwycięstwa Sprawy Ludowej. Przecież na szale walki rzucaliśmy kiedyś i my po skromnej cegiełce — i nie co innego, ale właśnie to, co zaistniało, było celem i ideałem wszystkiego, cośmy tam i tutaj przeżyli myśląc o Nowej Polsce Chłopsko-Robotniczej.

Kolegi Skulskiego zapewniam, że do dzisiaj jeszcze nie zataiłem mi się w pamięci upiorny cień bagietów za oknem mojej chaty na Krościenku — Nizmem (Krosno), oraz obraz tyłu, tyłu nocnych rewizji.

Jesteście szczęśliwi. Lecz kiedyż my wrócimy z tułaczki do domu? Słyszcie? — do domu! Pragniemy wraz z Wami budować Polskę Ludową — i o powrocie myślimy. Tu marnujemy się tylko, ciepłujemy i wprost dżiczujemy. Bo nostalgia zabija. Jedynym pocrzepiającym, „powietrzem z Ojczyzny” są czasopisma z kraju. —

Proszę o stałe przysyłanie mi „Wsi”. Prenumeratę możecie potrącić z honorarium, o ile w przyszłości coś mojego pomieścicie. Chciałbym należeć do Z.L.P. Sekcja Wiejska — lecz nie wiem, czy pozostałemu w puszczy brazylijskiej przysługuje prawo. Tymczasem przesyłam dla „Wsi” wiersz „Do Przyjaciół w Ojczyźnie”. Niech Przyjaciele: Kapuściński, Skulski i dziesiątki innych przymną treść jego, iskierkę mojej dla nich wdzięczności za pamięć, książki i listy braterskie.

Kurytyba, 1.6.48 r.

Wojciech Breowicz
Rua Cons. Laurindo Nr 1032
Curitiba — Parana — Brasil

O ludowości i narodowości

W numerze 24 „Odrodzenia” pojawił się artykuł Jalu Kurka o ludowości w aspekcie kulturowym.

Aspekt kulturowy ludowości był wyzyskany jeszcze w czasie zaborów przy pomocy bibułki do kręcenia papierosów — Beldowskiego z Kosynierem i kalendaryz wiejskich, kryjących w sobie „silny ładunek pozaliteracki”. „Taka bowiem ludowość, która wyrasta z istotnej konieczności i rzeczywistości (nie fingowanej, ewokowanej) — nigdy nie opóźnia kultury — przeciwnie, nadaje jej zwawe samoistne tętno”.

„Nie rekwizyty materialne — pisze dalej Kurek — nie literackie inscenizacje określają istotę ludowości i torują drogę jej racji bytu. Jej prawo do życia leży w odrębnym myśleniu i uczuciu. Nie na stroju zasadza się ludowość, lecz na naturze owej grupy ludzkiej, będącej odbiciem ziemi. To ziemia mówi przez człowieka; krajobraz odbija się w jego myślach i uczuciach”.

Tak więc odkrył Kurek, że chłop ma inną, odrębną duszę, której jakość determinuje przyroda, ziemia, pejzaż. Zależna od ślepych sił przyrody „ludowość wchodzi w ramy ogólnej kultury naszej z pewnym swoistym specyficznym zespołem cech odrębnych i oryginalnych, wzbogacając siłę sok, i samo krajenie kultury”. A kultura kraja sobie po narodzie jak soki po roślinie, jak pierwiastki w przyrodzie.

Wybitnie odkrywszy artykuł Kurka nie na tym się bynajmniej kończy. Autor „Grypy” podaje za zadziwiająca jasnością zasadę wymiany kultury między wsią i miastem.

Otóż wieś ma brać z „kultury inteligencji to, co jest dobre i przydatne dla niej, a oddając znów tamtej kulturze swoje specyficzne wartości. Taka celowa i rozsądna wymiana dokonywała się zawsze drogą naturalnego wyboru”.

Przykład choćby taki: miasto daje bibułki Beldowskiego, wieś — kosyniera na etykietę.

Dla obecnych stosunków proponuje Kurek co innego: Sienkiewicza (zapewne „Trylogię”) i Rodziwiczówną na wieś, jako szczytowa, dobra, najlepsza literatura.

„Wdrapał się Kurek na sławy pagórek” — pisało jeszcze przed wojną o autorze traktatu o ludowości, z takiej wysokości może nie było widać, ani słyszać, że mit odrębnej duszy chłopskiej i naturalistyczna koncepcja kultury zostały już dawno zdemaskowane a ich społeczny sens ukazany choćby w szeregu artykułów zamieszczonych we „Wsi”. Kurek mógł tego nie widzieć, ale chyba nie „Odrodzenie”, pismo, które tak przecież bardzo popierało wyprawę pisarzy na wieś dla zbadań jej stanu kulturalnego.

Dlaczego więc Kurek szaleje w „Odrodzeniu”?

„Wici”

Przeciwko organizacjom młodzieżowym zagrało ostatnimi czasy najcięższe działa. Mowa o liście biskupów. Poszły w ruch ambony, konfesjonały, parafialne kancelarie i temu podobne miejsca pasterskiego i politycznego działania polskiego kleru. Księża nasi proszą młodzież, przestrzegają, grożą...

A młodzież?

Odpisała im już w swoich czasopismach. Ale nie o to chodzi. Chodzi o jej zachowanie się, które tak bardzo zaniepokoiło katolickich sztabowców i które zaskarbiło sobie ich szczególną uwagę. Popatrzmy na Wici.

W ciężkim trudzie i wysiłku przecierały po wojnie oczy. Uwikłane w tajemnicach wiary artystycznej, w przedziwnej moralności i cyniczno-słowiańskiej, potykały się co chwila

F A K T Y
i
Z D A N I A

la o fakty współczesnej polskiej rzeczywistości. Czyż „Tygodnik Powszechny” nie miał wtedy okazji do radości?

Ale w organizacji tej przyszły wydarzenia nowe: akcja „Demokratyzacji”, umowa o współpracy i decyzja utworzenia wspólnej organizacji młodzieżowej. W międzyczasie powstaje „Służba Polsce”. Młodzież chłopska przestaje marzyć i „dumać”, przestaje krytykować i dąsać się (np. na metody realizowania reform), a zaczyna rozumieć istotę dzisiejszych czasów i zaczyna — zwyczajnie — **pracować**. Nie wystarcza jej własne gospodarstwo, nie wystarczają wypadki mające miejsce we wsi, parafii, czy okolicy. **Szuka perspektyw historycznych**. Poszerza swoje zainteresowania. **Przechodzi od powiązań sąsiedzko-parafialnych do społeczno-narodowych**. Tworzy naród.

Na dowód niech służą numery tygodnika „Wici”. Oto tytuły artykułów numeru 23 (6. VI.48 r.):

1. Jaka będzie zjednoczona organizacja młodzieży (sprawozdanie z trzeciego zebrania dyskusyjnego centralnego aktywu organizacji młodzieżowych).
2. Zatrzymajmy ręce katów! (Odezwa Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej w sprawie walczącej Grecji).
3. O naszych kolegach z Bulgarii.
4. W trosce o oświatę (artykuł na marginesie zjazdu Z.N.P.).
5. Odezwa nauczycieli polskich.
6. Dwa tygodnie w Indiach.
7. Bohaterowie naszej epoki (artykuł sprawozdawczy z młodzieżowego wyścigu pracy).
8. Historia ruchu robotniczego (ciąg dalszy).
9. Junacy „Służby Polsce” piszą do siebie (listy).
10. Wystawa Ziem Odzyskanych.
11. Z życia organizacji — art. „Jedność budujemy w nauce i pracy”, „Żyje Koło Młodzieży w Kawencynie”, „Sterdyń na starcie”, „Robimy się na mądrze”, „Gminy budują szkoły rolnicze”.
12. Spółdzielczość na ziemiach polskich.
13. Sojusz polsko-bułgarski.
14. Wybory w Czechosłowacji.
15. Nowe państwo Izrael — broni swej niepodległości.

W artykułach mamy ilustrację zainteresowań. Proszę bardzo: zjednoczona organizacja młodzieży **polskiej**, troska o oświatę w **Polsce**, odezwa nauczycieli **polskich**, wyścig pracy wśród młodzieży **robotniczej**, historia ruchu **robotniczego**, **Służba Polsce**, **Ziemie Odzyskane**, **Sojusz polsko-bułgarski**, **Czechosłowacja**, nowe państwo **Izrael**, **S. F. M. D. i Grecja**, **Indie**, koledzy z **Bulgarii**. Oto problematyka interesująca dzisiejszą młodzież wiejską.

Jeśli ucieka z garści ten społeczny element, który od wielu już setek lat na podobieństwo gliny w tej garści był lepiony, to nie dziwne, że księża ruszyli się w jego obronę. Ale łatwo było się bronić i lepić dowolnie z tej gliny figurki w tych czasach, gdy najdalszą i najgruntowniej chłopskimi nogami ubita była droga z chłopskiej chaty **do sąsiada i parafii**, a wieści przekazywano sobie „z ust do ust”. Teraz droga obiega całą Polskę, wyduża się za granicę, a ośrodkami zainteresowań są w każdym bądź razie nie plebanie. Na dowód może posłużyć fakt, że w powiecie piotrkowskim przez okres lat trzech było 26 kół młodzieży wiejskiej Wici, a od momentu odczytania listu biskupów powstały 22 nowe zespoły. Skutek — jak widać — jest. A ten skutek stanie się przyczyną następnych... Brrr! Dobrze jednak, że nie jestem biskupem! **kp.**

Czyżby drugi plan wydawniczy?

W „Kuźnicy” wprowadzono stałą rubrykę pochwał wydawców, w której to coraz częściej pojawiają się laurki, przyznawane za wznowienia. W chwili jednak, gdy odłożywszy numer wyjdzie się na ulicę i zlustrowie optywizm ginie bez śladu. Rozejrzyjmy się tylko! Dział filozofii i teorii kultury: wyszedł już Stachniuk „Walka o nowe zasady” i „Współkultura”, ukazało się „Życie duchowe” — Nawroczynskiego, „O szczęściu” — Tatarkiewicza, „Upowszechnienie kultury” — Bogdana Suchodolskiego,

wreszcie „Spór o istnienie świata” — R. Ingardena. Wszystkie te prace niewątpliwie zawierają pewną sumę faktów, których znajomość jest pożądana. Owszem, ale ofiarowują w zamian za to tak rozkoszne perspektywy interpretacyjne, że mimowoli powstrzymujemy się i pytamy: „Czy warto?”

Każda tego typu edycja jest zjawiskiem społecznym, ma pouczać, informować. Czegoż tedy musimy się nauczyć od znanego już z przed wojny, jako metnologa oczywiście, Stachniuka? Czy raz jeszcze mamy pobierać stare lekcje idealizmu? Czy uczniowie gimnazjów powinni wychowywać się na jałowych, w niesłychanie skomplikowany sposób wyjaśniający świat, filozofiiach burżuazyjnych? Czy mają zastanawiać się nad kulturą, przedmiotem idealnym czy też intencjonalnym?

Wydanie książki to przyjęcie odpowiedzialności za nią, to uznanie jej za godną szerokiego oddziaływania społecznego. Wodocześnie, jeśli sędzić po ilości świeżo opublikowanych dzieł z zakresu idealistycznych filozofii, w Polsce robi się drugą politykę kulturalną. Po cichu, bez zapowiedzi, ale skutecznie.

F. G.

Wiedzieć jak działać!

Z dostępnych mojej obserwacji terenów odnotowuję dwa takie fakty:

1) na 15 sił nauczycielskich (3 mężczyzn i 12 kobiet) ani jedna nie czyta, ani nie prenumeruje pism literacko — społecznych, nikt nie prenumeruje dziennika, choć kilkoro z nich czyta je dorywczo przy okazji pobytu w mieście. 2) nauczycielki (również okazji nie) czytają pisma kobiece („Moda i Życie praktyczne” i „Przyjaciółkę”) Czyż nie jest dość wymowne?

A jakby na urągawisko na terenie gminy funkcjonują dwie agencje pocztowe. Skrajne wypadki — oczywiście;

2) nauczyciel stara się utrzymać możliwie życzliwe stosunki z całą wsią. Wszystko układa się dobrze — do czasu. Do czasu, kiedy nauczyciel wiedziony, dobrem ogółu występuje z inicjatywą założenia spółdzielni. Wówczas sklepikarz kłamstwem i podstępem wszczyna przeciw nauczycielowi taką nagonkę, że ten zniechęcony postanawia się wynieść ze wsi.

Pierwszy przykład wskazuje na niedo-zbrojenie intelektualne nauczycieli. Nie idzie mi tu o formalnie intelektualne braki, a o zakresy treści, których brak daje w wyniku, jak w drugim przykładzie, przegrana nauczyciela w jego społecznej akcji, często zbyt szybkie i nieuzasadnione zniechęcenie. Społecznik — nauczyciel staje się ibsenowskim „wrogiem ludu”. Kiedy nie wiele lepiej rozumie rzeczywistość społeczną od tamtego bohatera.

Dlatego o ile chłop prenumerujący powszechnie pismo, czy gazetę może jeszcze narazie potraktowany być jako obraz przyszłości, to nauczyciel prenumerujący nie tylko swój organ związkowy — to żelazna konieczność dnia dzisiejszego dla niego i wsi.

Inicjatywa podjęta przez „Więś” w celu zdobycia nauczyciela da z pewnością jak najlepsze rezultaty. „Więś” drukowała artykuły o ks. Sciegiennym, o kapitalizmie na wsi, o ruchu ludowym, o Wiśniowcach, Wielkiej Rewolucji Francuskiej i inne o szerokim i ciekawym ujęciu. Czyż opracowania takie nie dadzą nauczycielowi nowych wiadomości? (o ks. Sciegiennym podręczniki przedwojenne milczały jak zakłete).

Z chwilą kiedy nauczyciel spostrzeże, że pismo ułatwia mu znacznie opracowanie lekcji, że dostarcza mu brakujących wiadomości w społecznym (i... socjologicznym) działaniu na wsi — lody zostaną przełamane.

J. B.

Kultura literacka

Przed dwoma laty w jednym z prowincjonalnych miasteczek starałem się „naciągać” tak zwaną inteligencję zawodową (adwokatów, lekarzy, magistrów farmacji) na rozmowy o nowoczesnej poezji. Znajomi, ludzie z uniwersyteckim bądź co bądź wykształceniem przy przeglądaniu tomików Przybosa, czy Miłosza wzruszali bezradnie ramionami — nie rozumieją.

Konczyli oni gimnazja ogólnie — kształcące gdzieś w latach 1929 — 30. Uczyli ich profes-

sorowie, którzy swoją wiedzę o literaturze braли z rąk jeszcze Tarnowskiego, a dalej Chlebowskiego, postępowo tu był Chrzanoński a rewelacją Feldman. Progiem dla wiedzy o poezji był Asnyk, Konopnicka, nowością był Kasprzowski, Staff. W tym literackim nadaniu kształcił się smak ludzi, którym pokazywałem Przybosa.

Przed paroma dniami jedno z gimnazjów łódzkich prosiło mnie o wybranie kilku wierszy, które by wypełniły część deklamacyjną akademii szkolnej na zakończenie roku. Podano mi mniej więcej kryteria wyboru: chcąc wiersza o akcentach patriotycznym — społecznym, chcąc wiersza, który byłby dla młodzieży zrozumiały. Ja ze swj strony dodałem, że **powinien być literacko dobry**.

Zacząłem wertować pisma; przyznam, że z wyszukaniem miałem poważne trudności. Ale znalazłem... wydawało mi się, że znalazłem!... Był to prosty o klasycznej formie wiersz Jastruna „Rok 1944 — 1947”. Zadowolony i pełen miłego podniecenia wręczałem, obiecując wziąć zaraz „na warsztat”.

Okazało się jednak, że sprawa nie przeszła. „Redaktorze! nie rozumieją, a deklamatorzy się nie nauczą. Niech pan o mnie myśli co chce, — mówi organizator imprezy — ale i ja sam... no i zaczynają się oskarżenia, że wiersza nie czują, że nie mogą go jakoś ogarnąć, jest dla nich nieprzystępny. Z rozmowy wyszło, że Konopnicka — owszem, Staff także może iść, najlepiej jednak Wierzyński, a przede wszystkim Lechoń, o ten jest do wydekamowania! Natrafiamy tu na drugi próg — jest nim „Skamander” dalej już się nie idzie. Polonistów, którzy otrzymywali dyplomy w latach 1934, 35, 36, tak daleko tylko doprowadzały studia uniwersyteckie — to dzisiaj przekazują uczniom.

Dla polonistów szkół średnich współczesność literacka nie istnieje. **Kto ma więc kształcić wrażliwość estetyczną młodzieży?** Przecież zadaniem szkoły jest przygotowanie do kultury, której jednym z przejawów jest współczesna poezja.

Możemy założyć, że to na polonistach spoczywa obowiązek ciągłego wychylania się we współczesność, on ma przekazywać i dzielić się wartościami literackimi młodzieży, w związku z tym trzebaby przemienić go i w działacza kulturalnego szkoły — tu jednak wyrasta problem dostarczenia mu narzędzi i wymagań na **aktywnego konsumenta kultury**, na razie niech przygotowuje uczniów do czytania pism społeczno — literackich.

M. R.

Taniec bezbronności i agresji

Pismo amerykańskie „New Week” zamieściło ostatnio artykuł głoszący wojnę krzyżową przeciwko Z.S.R.R. Żądało baz, umocnień, fortyfikacji, w okół państwa socjalistycznego.

Nie było by nic dziwnego w wystąpieniu pisma amerykańskiego, gdyby nie zasadnicze ewolucje wojennej propagandy tych sfer amerykańskiego kapitału, którym zależy na dobroju armii — po prostu z tej tylko przyczyny, że na dostawach zbrojeniowych zarabają znaczne sumy.

Cóż — jeszcze pół roku temu mówiono innym stylem i innym głosem — niewątpliwie bardziej minorowym. W październiku 1947 roku tygodnik „Atlantic Motly” zamieścił artykuł pt. „Nasz następny Pearl Harbour”. „Bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych” głosił artykuł — znikło wraz z wybuchem pierwszej bomby atomowej. Kraj nasz jest całkowicie bezsilny wobec broni, która... o-kazuje się znacznie groźniejszą, niż wszelkie noce koszarne.

Stany Zjednoczone są w obecnym okresie w rzeczywistości bezsilne wobec atomowego ataku, a my z wzrastającą szybkością spadamy w militarną impotencję...

W końcu żąda się kredytów zbrojeniowych. W podobnym tonie mówiły wszystkie pisma amerykańskie popierane przez wielki kapitał zbrojeniowy. I nie bez kozery będzie przypomnieć, że głosy o bezbronności Stanów Zjednoczonych odzywały się wówczas, gdy w senacie toczyła się dyskusja w sprawie wydatków na armię. No i — monopolie zwyciężyły.

Czy słabość była rzeczywista? Wallace powiedział wówczas, że „groza wojenna fabrykuje związek wielkich przedsiębiorców i militarystów, gdyż idzie im to na rękę. „Zakrywając się słowami o „narodowym bezpieczeństwie” można złamać Związki Zawodowe, zlikwidować prawodawstwo socjalne, i zmocnić pogoń za zyskiem...”

A dziś? Monopole zbrojeniowe starają się o nowe zamówienia, nowe kredyty, nowe zyski. Czyżby to było spowodowane wojną? Wątpliwe. Naród amerykański, ponad ich głowami — w liście Wallace’a do Stalina — wypowiedział się definitywnie za pokojem.

Pragną tylko — zysków, zysków, zysków. Ale już nawet w Stanach Zjednoczonych opowiadają historię o bogaczu przyduśniętym workami własnego złota.

K. S.

W OSTATNIM NUMERZE 24 (153)
Z DNIA 13 CZERWCA 1948 r.

Jan Aleksander Król — W Czechosłowacji. Leonard Sobierajski — Ucieczka z krainy Lambertów? Maria Janion — Żywot szlacheckiego liberała; Bronisław Urbaniński — Czy ziemia jest w środku świata?; Władysław Strzemiński — Bilans koncentracji w szpitalistycznej; Jan Maria Giges — wiersze — Na przyczółku sandomierskim — opowieści krajobrazu — Nad stawem; Witold Łubaszewicz — W gnieździe łancuckich feudalów. Józef Prorek — Kultura parafialna; Listy polityczne; Piotr Chmura — Zaczarowane kolony; Lech Budrecki — Poezja; Zdzisław Skwańczyński — Proza; Fakty i zdania; Komunikaty; 17 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;

1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł., półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Oddito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—03001